№ 44 Warszawa, dnia 17 (29) Października roku 1881.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Krolestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedplata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

KONGRES LITERACKI
W WIEDNIU.

W zeszłym miesiącu do stolicy nad modrym Dunajem zjechali się różnego pokroju literaci.

Był to czwarty kongres z rzędu, który rozpoczyna i kończy się okrzykiem „własność literacka jak każda inna powinna być uznaną i chronioną."

Że wydawcom zależy na tem, by ich nakładem wydawane dzieła nie były tłomaczone — to można zrozumieć, dla kupczących bowiem duchem, podobne zastrzeżenie jest korzystne i przynosi materyalne zyski, ale dla autorów, dla ludzi nauki, kwestya tłomaczeń, bo o te głównie idzie, jest nietylko drugorzędną, lecz przeciwnie zależy im na tem, by dzieła ich były na obce języki tłomaczone, by myśli ich i zasady niekrępowane językiem, niosły światło wiedzy w najdalsze zakątki świata. Że w samej rzeczy tak a nie inaczej ułożyły się stosunki, że tak a nie inaczej pojmują ludzie nauki swe stanowisko, posiadamy w ręku naszem dowody, w których tacy autorowie jak: Lubbock, E. Tylor, R. Virchov i inni za zaszczyt dla siebie uważają tłomaczenie ich dzieł znakomitych — a jeśli się spotyka w przyswajaniu dzieł naukowych trudności, to pochodzą one jedynie ze strony wydawców, którzy, jak każdy handlujący, pragną posiadać monopol.

Dziś, gdy wyzwalamy handel z pod monopolu, dziś gdy mówimy o braterstwie ludzkości, o wspólności idei, stawianie podobnych wniosków jest co najmniej dziwnem.

Lecz zarzuci nam kto, że tu nie idzie o dzieła specyalne, naukowe, ale o ten pokarm codzienny dla masy czytającej, zatem o poezye, powieści, nowelle etc. — rozumiemy potrzebę pewnego zabezpieczenia w granicach państwa i języka, chociażby dlatego, aby nie powtarzały się lisby Lama, wykazujące plagiat „Kuryerowi Warszaws.", „Czasowi" i „Gazecie narodowej" — ale w stosunkach międzynarodowych i państwowych nie rozstrzyga bezwzględna sprawiedliwość. W stosunkach literackich i naukowych różne narody są nawielce odmiennych stopniach rozwoju cywilizacyjnego — a uwzględnienie potrzeb i warunków narodowych musi poprzedzać podobną teoryą własności, którą głosi kongres.

Przedewszystkiem trzeba coś posiadać, aby módz rozprawiać o własności — otóż nie każdy naród posiada tak liczne twory ducha, aby one wystarczyły na jego potrzebę własną, o naruszenie zatem tak maluczkiej jak nasza własności nikt się nie pokusi. Lecz nie dość na tem, naród zostający w powyższych warunkach, jeśli chce dotrzymać kroku w cywilizacyi innych narodów, musi je siłą pary dopędzać, a paliwem będą tu dzieła innego narodu posuniętego wyżej w cywilizacyi. Czyż najwyższym celom świata t. j. rozwojowi cywilizacyjnemu, wolno stawiać podobne przeszkody, w rodzaju tych, które kongres proponuje?

Tacy bogacze literaccy, jak Anglicy, Francuzi, Niemcy i Amerykanie, mogą wzajemnie się układać o honorarya, mogą stanowić prawa autorskie międzynarodowe — ale weźmy np. Japonią, która w nader krótkim czasie stara się o przyswojenie cywilizacyi europejskiej, czy można, czy wolno, czy nie ubliżałoby to naszej osobistej godności, gdybyśmy wymagali zapłaty za tłomaczenia chińskie, japońskie lub innego narodu, żyjącego w barbarzyństwie?

Jeśli na tę sprawę spojrzymy ze stanowiska etycznego, uchwały i żądania kongresu musimy odrzucić jako wprost niemoralne i szkodliwe celom ogólnoludzkim

Pomijając jednak stanowisko ogólnoludzkie przejdźmy do kwestyi bezpośrednio nas interesującej a dającej się streścić w pytaniu: Co robili Polacy na kongresie i w jakim stosunku zostajemy do uchwał wiedeńskich?

Z literatów polskich przemawiał publicznie i z godnością tylko Kraszewski, oto dosłowny przekład jego mowy, wygłoszonej 19 września:

„Szanowne panie i panowie! Czuję się zaszczyconym, że w imieniu literackiego międzynarodowego kongresu, mogę wam wyrazić moje dzięki za uprzejme i gościnne przyjęcie i szczerą sympatyą, jaką cele naszego stowarzyszenia znalazły w pięknej stolicy Cesarstwa Austryackiego i wśród wybitnych członków niemieckiego kongresu, który jest przedstawicielem inteligencyi narodu mającego wielkie zasługi na polu cywilizacyi i humanizmu. Cel nasz — sama nazwa to wyraża — jest międzynarodowy, literacki w najszczerszem tego słowa znaczeniu. Stowarzyszenie nasze dąży do urzeczywistnienia tego, co oświadczył nasz znakomity mistrz Wiktor Hugo, że własność literacka, jako własność, wszędzie winna być uznaną. Nie uda się to, dopóki całe społeczeństwo nie zbliży się do siebie i nie zjednoczy się dla zdobycia ideału, który jednem prawem będzie się rządził. Cel ten podnosi się do sfery, w której interesy, namiętności chwili i wszystko, coby mu mogło przeszkadzać, ustępuje. Zapewne ludzkość musi jeszcze wiele uczynić, nim będzie urzeczywistnioną ta jedność, ta równość praw, ten wzajemny szacunek wszystkich narodów, który teraz zdaje się być nie do osiągnięcia; ale wolno nam i można dążyć do tego ideału i życzyć jego urzeczywistnienia. Czoło narodów, ludzie, którzy oświecają i przewodniczą, którzy pobudzają masy i przygotowują przyszłość, to dziennikarze i literaci, którzy muszą wpajać uszanowanie dla prawa i uszanowanie dla płodów umysłowej pracy.

Mam zaszczyt należeć do narodu, który z powodu swego języka i stanowiska, najmniej zyskuje na uznaniu własności literackiej. Jako Polak, nie jestem więc w tej kwesyi wcale interesowanym. Ale jako człowiek i jako Polak, przyjmuję udział w tych pracach, które mają prowadzić do tego celu i które mają na uwadze pojednanie i sprawiedliwość. To są idealne dążenia, którym udzieliliście tak uprzejmie szczerego poparcia.

Stowarzyszeniu „Concordia", którego sama nazwa jest dobrą przepowiednią i tym wszystkim, którzy swą sympatyą, naszą wiarę w przyszłość wzmacniają, składam najserdeczniejsze podziękowanie. Cześć „Concordii!"

Prócz Kraszewskiego, był lingwista Chodźkiewicz z Paryża, W. Mickiewicz, syn wieszcza naszego i znany wydawca, K. Chłędowski z Wiednia i literaci z Warszawy pp.: W. Szymanowski, redaktor „Kuryera Warszawskiego"; T. Czapelski, główny współpracownik tego pisma; M. Gawalewicz, literat i kronikarz „Kłosów"; K. Zalewski, redaktor „Wieku" i pan Fryze, redaktor „Kuryera Porannego. Dziennikarstwo galicyjskie i poznańskie nie wysłało nikogo na ów kongres. Wśród literatów zagranicznych, głośnych nazwisk tak uczonych jak i poetów i dziennikarzy, brakowało zupełnie — świecił jedyny Kraszewski i kilku znaczniejszych pisarzy z towarzystwa „Concordia" dla nas nieprzyjaznego.

Nic nie mamy przeciwko temu że nasi literaci, posiadając czas i środki po temu, przejechali się do Wiednia, ale stanowczo musimy im zaprzeczyć pełnomocnictwa, decydowania i reprezentowania nas, gdyż tylko wybór, tylko zgoda poważnych dzienników Królestwa, Galicyi i Poznańskiego mogłyby użyczyć im tego prawa.

Nie jest to „liberum veto", li tylko dobrze zrozumiany, własny interes. Rzecz się ma tak. Byliśmy i jesteśmy związani z cywilizacyą zachodnią, której siedlisko główne w różnych czasach zmieniło się; najpierw był nim Rzym, następnie Francya, a w ostatnich czasach Anglia i Niemcy. Kto zna historyą naszej cywilizacyi, ten wie, że nowe prądy cywilizacyjne oddziaływały na nas zawsze o kilka dziesiątek lat później, aniżeli na inne ludy europejskie bardziej zbliżone do ogniska oświaty, że zatem my dawniej, a nawet i teraz zostajemy z powodów geograficznych po za zachodnią cywilizacyą. Aby się z nią zrównać, trzeba nam wielu bardzo żywotnych rzeczy — a między innemi możności szerzenia oświaty wśród szerokich kół, więc książek i pism tanich. Jeśli je utrudnimy pieniężnie, ruch wydawniczy zmniejszy się bardzo znacznie, a na wielu gałęziach upadniemy, bowiem sami nie wytworzyliśmy i nie posiadamy dostatecznych sił, któreby nam starczyły na zaspokojenie własnych potrzeb.

Nie przemawiamy tu w naszym osobistym literackim interesie, bo koniec końcem za wszystko zapłaciłby ostatni konsument czytelnik lub prenumerator, ale nam idzie o dobro ogółu, o dobro całego społeczeństwa!

Ileż to dzieł naukowych polskich wychodzi u nas w ciągu roku? Dajmy nato dwadzieścia, najwyżej trzydzieści, a nas jest przeszło dwadzieścia milionów, gdybyśmy więc nie wspomagali się zagranicznemi, czyżby nasze starczyły? pomijając już różnicę w wartości!

Gdybyśmy przyjęli zasadę kongresu, cóżby się stało z naszem dziennikarstwem?

Wszak nasza prasa jest prowincyonalną, nie posiada korespondentów z biur ministeryalnych, nie ma właściwych linii telegraficznych, nie ma zresztą środków materyalnych by samodzielnie dziennik prowadzić — więc radzi sobie kompilacyą i czerpaniem wiadomości z gazet zagranicznych. Czyż zatem możemy płacić podwójnie, bo i kompilatorowi i autorowi za gazeciarskie artykuły? A owe powieści, któremi żyją nasze dzienniki — czyż przy nader skromnem wynagradzaniu tłomacza możliwą byłaby opłata autora? I któż traciłby w ostateczności? Naturalnie ogół, bo wydawca byłby zmuszony powiększyć cenę prenumeraty.

W końcu mimowoli nasuwa się pytanie, po co pojechali ci panowie do Wiednia na kongres i w jakim celu? Zamanifestować, że żyjemy? Toć o tem wiedzą dobrze, a jeżeli nie wiedzą, to mniejsza o to. Kongres przy reprezentantach uzurpowanych, jacy mu się narzucili, nic zdumiewającego powziąć o nas nie mógł.

Pracujmy a po owocach nas poznają, nie zamydlajmy sobie oczu, że coś znaczymy, że ważymy na szali europejskiej. Ceni się jedynie siła moralna lub materyalna, zdobądźmy ją a uznanie samo do nas przyjdzie, jak to było w XV wieku.

Cała ta wyprawa do Wiednia, przypomina nam żywo dowcip „Szczutka" (humorystyczne pismo lwowskie) zastosowany wprawdzie do innych osób, ale odpowiedni i dla naszych podróżników:

Pojechali do Wiednia gross i wild — (*)
Przyjechali z Wiednia klein i mild.

A. G.

Co mam śpiewać?...

(Poświęcone W-rze G...)

Czy mam śpiewać znów o błoni,
O srebrnym ruczaju?
Czy o cudnej kwiatów woni,
O zielonym maju?...

Czy opiewać bujne lasy,
Niebo lazurowe?
Czy wychwalać dawne czasy —
A potępiać nowe?

Czy też nócić o słowiku,
Pod oknem kochanki?
I powtarzać znów bez liku
Stare oklepanki?

Dziś, gdy droga każda chwilka
W tej życiowej męce,
Lepiej gdy tych strofek kilka
Przyjaźni poświęcę.

Przyjaźń twoja niech mi słodzi
Gorzkie łzy zawodu,
Wiarę w przyszłość niech odrodzi
Jak niegdyś... za młodu!

A więc słowa co tu kreśli,
Śpiewak tobie święci,
Prosząc w zamian za swe myśli,
Przyjaźni, pamięci!...

Kazimierz Lechnicki.

Dubno.

JESIENIĄ

Skarżysz się, że ci smutno, że chłód tej jesieni
Owiał uczucia twoje i cuda natury,
Że przygasł blask ożywczy słonecznych promieni,
Że zwiędły barwne krzewy, zmilkły ptasząt chóry,
I duszno jakby zbrakło powietrza w przestrzeni!

Szalona, czyś myślała, że zawsze bez końca,
Kwitnąć ci będą róże, słowik nucił pieśni,
Że nigdy ciemna chmura nie skryje ci słońca,
Że nigdy w ziemskiem tchnieniu nie poczujesz pleśni?

Czyż chciałaś świeżość wiosny w całym swym uroku,
Zachować w dalszem życiu wśród burz i upałów?
Czy chciałaś w skwarach letnich lub w jesieni mroku,
Odnaleźć ślad wiosennych twoich ideałów?
Daremna twa tęsknota i skargi szalone,
Oderwij błędne myśli od próżnych zachcianek,
Te czary, te uroki twoje zatracone,
Raz tylko w życiu świecą w majowy poranek.

Emilia.

Radoszewice.

(*) Wielcy i dzielni — mali i potulni.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

Przekład

J. B.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

XL.

Burmistrz.

W krótkim testamencie Fryderyka dwie szczególniej rzeczy uderzyły Sturma.

Najpierw spadek zemsty, przekazany Benedyktowi; — trzeba jednak oddać mu sprawiedliwość, że to najmniej go niepokoiło.

Sturm, mały szlachetka, sobie samemu zawdzięczający zajmowane stanowisko i stopień, gdyż dzięki swej odwadze, powiedzmy raczej okrucieństwu, pozyskał z kolei wszystkie stopnie, aż do zajmowanego obecnie stopnia jenerała brygady, w wojnach przeciw Księztwu Badeńskiemu, Saksonii, Szlezwig-Holsztyńskiej i ostatniej przeciw Austryi. Nie był znów do tego stopnia zmieszany obecnością Benedykta i nader uprzejmie wypowiedzianą mu groźbą, aby nie poznał w nim dobrze wychowanego człowieka światowego, a nawet salonowego. Otóż wszyscy zazwyczaj wojskowi mają to błędne przekonanie, że tylko noszący mundur są prawdziwie odważni, i że trzeba blizko zajrzeć śmierci w oczy, aby jej się nie lękać.

Wiemy już, że pod tym względem Benedykt mógł iść w zawody z najodważniejszymi żołnierzami. Pod jakąkolwiek śmierć przedstawia się postacią, czy to na końcu bagneta, czy przez łapę tygrysa, trąbę słonia, ukąszenie jadowitego węża— zawsze jest śmiercią, to jest pożegnaniem się ze słońcem, z życiem, z miłością, ze wszystkiem co piękne, wielkie i wzniosłe, co sprawia bicie serca, i nakoniec doprowadza do tej ponurej tajemnicy— zwanej grobem. A potem, Sturm nie rozumiał inaczej rzeczywistej groźby, jak tylko zgodną z jego temperamentem i charakterem, to jest połączoną z krzykiem, rzucaniem się, wymyślaniem i przeklinaniem.

Tak więc salonowa grzeczność Benedykta nie dawała mu wyobrażenia o poważnem niebezpie-

czeństwie; jak wogóle ludzie nizkich pojęć, wystawiał sobie, że kto tylko wyzywa na pojedynek z wszelkiemi formami towarzyskiej grzeczności, już tem samem zabezpiecza sobie odwrót.

Dalej powiedzieliśmy, że Sturm był odważny aż do zuchwalstwa i nader biegły tak w fechtunku jak i robieniu wszelką bronią, a szczególniej szpadą. Tak więc nie przekaz zemsty Fryderyka Benedyktowi najwięcej go zaniepokoił.

W krótkim owym testamencie stało, że pani von Below pojedzie prosić królowej Augusty o zwolnienie Frankfurtu od nałożonej na niego kontrybucyi. Otóż nałożył ją jenerał Manteuffel, a ściągnięcie polecił jenerałom Roederowi i Sturmowi. Jeźli, czy to za sprawą króla, czy królowej, kontrybucya zapłaconą nie będzie, na nich spadnie zły humor głównodowodzącego jenerała. Zatem, bądź co bądź, trzeba ściągnąć ją zanim pani von Below uzyska zwolnienie od niej.

Tak więc nie troszcząc się o nic, nawet o śmierć Fryderyka, Sturm pobiegł natychmiast do jenerała von Roeder zawiadomić go o tem co zaszło.

Zastał go rozwścieczonego już postanowieniem senatu, orzekającem: że mogą sobie władze wojskowe rabować i bombardować miasto, ale miasto kontrybucyi wymaganej nie zapłaci. Gdy pierwszym razem burmistrz także odmówił, zniewolony groźbami, musiał mimo to zapłacić 6 czy 7 milionów kontrybucyi, zatem jenerał von Roeder był zdania, że i obecnie należało uciec się do tegoż samego środka. Wziął więc pióro i napisał:

„*Do PP. Fellner i Müller, burmistrzów Frankfurtu i mandataryuszów rządu.*

Proszę zająć się tem, aby jutro rano, najpóźniej o godzinie 10-tej, dostarczyć mi listę imienną wszystkich członków Senatu, nieustającej reprezentacyi oraz Zgromadzenia prawodawczego z ich adresami i nadmienieniem, którzy z nich posiadają domy lub majątki.

Mam zaszczyt pozdrowić panów.

von Roeder."

„P. S. Wagi do ważenia złota oczekiwać będą u jenerała von Roeder odpowiedzi PP. burmistrzów."

Zawołał żołnierza będącego na służbie i kazał wezwanie to odnieść do pana Fellnera; zwykle zwracano się ze wszystkiem do niego, jako do pierwszego burmistrza.

Nie było go w domu. Hans wymienił go Benedyktowi jako jednego z najlepszych przyjaciół Fryderyka von Below, i właśnie przed chwilą odebrał zawiadomienie, że tenże się zastrzelił; pomyślawszy w jak okropnej rozpaczy nieszczęście to musiało pogrążyć jego chrzestną córkę, Emmę, pobiegł natychmiast do niej, rozpowiadając po drodze, jak to zalecił Benedykt:

„Baron Fryderyk von Below, znieważony przez jenerała Sturma, który odmówił mu zadośćuczynienia, odebrał sobie życie."

Wiadomo z jak niepojętą szybkością rozchodzą się złe wiadomości — i ta też w jednej chwili obiegła całe miasto. Skutkiem tego pokój w którym spoczywały martwe zwłoki Fryderyka, zapełnił się niebawem pierwszemi znakomitościami miasta, przychodzącymi własnemi oczyma przekonać się o prawdzie.

Zadziwiony niewymownie, iż nie widzi Emmy przy martwych zwłokach męża, pan Fellner udał się do starej baronowej, i tam powiedziano mu, że nieszczęśliwa wdowa pojechała do Berlina, nie wiedział jednak po co. Pierwszą jego myślą było, iż zapewnie pojechała błagać o sprawiedliwość i ukaranie jenerała Sturma.

Wróciwszy do pokoju w którym spoczywały zwłoki Fryderyka, rozmawiał z kilku znajomymi o tem strasznem wydarzeniu, gdy nagle wpadł szwagier jego, radzca Kugler, trzymając w ręku wezwanie jenerała Roedera. Rozpieczętował go, ponieważ oddawca oznajmił, że jest nader ważne i pilne, a przeczytawszy, nie tracąc chwili czasu, przyniósł je szwagrowi.

List ten a raczej wezwanie, nie zwiastowało nic nowego, ponieważ kontrybucya 25 milionów florenów od trzech dni już była nałożona, ale stawiało go w roli zdrajcy mającego denuncyować własnych współobywateli — nie chcąc popełnić podobnej podłości, Fryderyk wolał odebrać sobie życie.

Przeczytawszy pismo jenerała Roedera, burmistrz skrzyżował ręce na piersiach i zamyślony wpatrywał się w martwe zwłoki Fryderyka.

Po kilku chwilach pochylił się ku niemu, pocałował w czoło i rzekł cicho:

— Zobaczysz tam, że nie sami tylko wojskowi umieją umierać!

Potem spojrzał na swoją rękę i dotykając palcem miejsca w którem rysowała się złowroga gwiazdka, rzekł do siebie:

— Tak mi było sądzono, a żaden człowiek nie zdoła uniknąć swego przeznaczenia!

Opuścił pokój wolnym krokiem, i przeszedłszy ulice miasta ze spuszczoną głową, powrócił do domu, wszedł do swego gabinetu i zamknął drzwi na klucz. Pisał długo; nadeszła godzina wieczerzy.

W Niemczech wieczerza ma wielkie znaczenie w domowem życiu, szczególniej w miastach handlowych, gdzie dopiero rzeczywiście głowę domu łączy z rodziną; podczas obiadu, mającego zwykle miejsce o godzinie drugiej, handlujący zaledwie w połowie jest w domu, gdyż myśl jego zwraca się ciągle ku przerwanym zajęciom. Ale o ósmej wieczorem, każdy zrzucił już z siebie jarzmo pracy; zapomina się o interesach, to godzina rodzinnego życia, uśmiechu, swobody. Przy wieczerzy, starsze dzieci całują rodziców w czoło, małe siadają im na kolanach, lub bawią się około nich. Nadchodzący sen obiecuje zapomnienie trosk i trudów umysłowych, wytchnienie znużonemu ciału.

Inaczej zupełnie zeszedł wieczór 22 lipca w rodzinie Fellnera. Był on jak zawsze czułym ojcem dla dzieci, może nawet dnia tego więcej niż zwykle ale czułość ta napiętnowana była głębokim smutkiem. Żona nie spuszczała z niego oczu, nie wyrzekła ani słówka, tylko od czasu do czasu ocierała łzy płynące po jej twarzy. Widząc smutek matki, obie dziewczęta milczały, tylko dzieciny szczebiotały swoim głosikiem przypominającym świergot ptaków, a rodzice po raz pierwszy nie zwracali na to uwagi.

Pan von Kugler siedział ponury; był to dzielny umysł, serce wzniosłe, pełne prawości, człowiek idący zawsze prostą drogą i nieumiejący zbaczać na manowce z drogą honoru. Zapewnie nieraz pomyślał już sobie: „Wiem cobym zrobił będąc na miejscu mego szwagra."

Wieczerza skończyła się późno, jak gdyby wszyscy lękali się rozstania z sobą. Dzieci pozasypiały z kolei, a nikt nie pomyślał przywołać bony i zawołać: „idźcie spać, dzieci, już czas na was."

Nie myśląc o tem, starsza córka usiadła do fortepianu, przesunęła palcami po klawiszach, nie zamierzając grać. Burmistrz drgnął usłyszawszy dźwięki instrumentu.

— Mino, rzekł po chwili, zagraj nam *Ostatnią myśl Webera*, wiesz jak lubię ten utwór.

Mina zaczęła grać; z pod jej palców rozlegały się smętne i czyste tony, jak gdyby rozerwano złote perełki po kryształowym półmisku.

Burmistrz wsparłszy głowę na ręku, wsłuchiwał się w tę słodką melodyę muzyka-poety, której ostatnia nuta ginie jak ostatnie tchnienie wygnanego anioła żegnającego ziemię.

Skończywszy, Mina grać przestała. Fellner podniósł się i nic nie mówiąc poszedł uściskać córkę czekającą rozkazu jego, czy ma powtórzyć ten sam utwór, co często miewało miejsce, czy zagrać inne arcydzieło tegoż mistrza—*Zaproszenie do walca.*

Gdy ojciec pocałował ją, krzyknęła:

— Ojcze! co tobie?... płaczesz!

— Co! ja? odrzekł żywo, przywidziało ci się, moje dziecko. I zmuszał się do uśmiechu.

— Och! szepnęła półgłosem, nie zaprzeczaj, mój ojcze, czułam wyraźnie łzę, a przykładając rękę do twarzy jego, dodała: Oto druga!

Fellner lekko ręką zatkał jej usta. Wilhelmina ucałowała rękę ojca.

— Wielki Boże! rzekł Fellner do siebie, tak cicho iż sam Bóg tylko mógł go dosłyszeć, czemuż dałeś mi tak dobre i kochające dzieci, aby mi cięższej jeszcze było je opuścić.

Cichy szept doleciał jego uszu.

— Bądź mężczyzną, Fellnerze!

Był to głos szwagra, który ujął i ścisnął dłoń jego. Zrozumieli się.

Wybiła jedenasta. Wyjąwszy, jeźli dawano bal lub wieczór, nigdy nie rozchodzono się tak późno w domu Fellnera.

Uściskał żonę i dzieci.

— Nie wychodzisz przecież? rzekła żona.

— O nie! odrzekł burmistrz.

— Bo żegnasz się ze mną tak jakbyś miał nas opuścić.

— Opuszczę cię rzeczywiście, odrzekł zmuszając się do uśmiechu, ale nie na długo, bądź spokojna — idę odbyć naradę z moim szwagrem.

Pani Fellner spojrzała niespokojnie na radzcę, ten potwierdzająco skinął głową.

Uściskawszy z kolei wszystkie dzieci, burmistrz odprowadził żonę do drzwi jej sypialnego pokoju, mówiąc:

— Śpij spokojnie, moja droga, Kugler i ja naradzimy się jak stawić czoło jutrzejszemu dniu.

Powiodła za nimi wzrokiem i widziała iż rzeczywiście weszli do gabinetu burmistrza. Nie myśląc o spaniu, przeszła do małego oratorium przytykającego do jej sypialnego pokoju; padła na kolana na stojący tam klęcznik, a z serca jej popłynęła modlitwa w której przebijał jakiś nieokreślony niepokój o męża.

Otworzyła leżącą na klęczniku książkę, ale nie znalazła w niej modlitwy odpowiadającej jej położeniu. Wtedy pomyślała, że książka jest niepotrzebnym pośrednikiem między Bogiem a człowiekiem, że należy bezpośrednio zwracać się do Stwórcy, jak Mojżesz przemawiał do Pana z gorejącego krzaku, i cicha ta matka rodziny, której wymowa ograniczała się na tem, iż umiała z głębi duszy mówić mężowi „kocham cię" i dzieciom „kocham was", modląc się aby Bóg zachował jak najdłużej ukochanego męża, tak niezbędnego dla jej szczęścia i szczęścia rodziny, wyrażała się tak wzniosłemi słowy, iż najwięksi poeci pochlubićby się niemi mogli. Modliła się długo i gorąco, modliła tak długo, aż znużona opuściła głowę, ręce opadły bezwładnie.

Ogarnął ją niby sen a raczej odrętwienie będące wynikiem nadzwyczajnego znużenia i niepokoju; nie miała siły przejść do łóżka.

Gdy nareszcie otworzyła oczy, pierwsze odbłyski dnia wdzierały się przez szyby. Świtało; była to owa niepochwycalna chwila w której jakieś niepewne światło, nie będące już nocą a jeszcze dniem, pada na wszelkie przedmioty, powiększając je w fantastyczny sposób.

Rozejrzała się wokoło; czuła się niezdrową, zziębniętą, ubezsilnioną; spojrzała na łóżko, męża nie było. Zerwała się prędko, w głowie jej się kołowało. Może pracuje jeszcze, pomyślała, a może zasłabł lub zasnął jak ona. W każdym razie pójdzie do jego gabinetu, aby go obudzić lub nieść mu pomoc.

Szła niepewnym krokiem; świeca w jej pokoju zgasła, zaledwie szarawe światło przedzierało się do wnętrza domu. Doszedłszy nareszcie do drzwi gabinetu męża, zawahała się czy wejść; choć klucz był w zamku, zapukała lekko.

Żadnej odpowiedzi.

Zapukała mocniej. Głuche milczenie.

Nareszcie drżącą ręką ujęła za klamkę, wołając: mężu! mężu!

Nikt się nie odezwał.

Zdjęta niewysłowionem przerażeniem, drżąc na samą myśl co zobaczy, gdyż straszne jakieś przeczuwała nieszczęście, otworzyła drzwi; jednocześnie wydała okropny krzyk i padła zemdlona.

Między nią a oknem rozjaśnionem pierwszemi odblaskami wschodzącego słońca, zobaczyła wiszące ciało męża; o parę kroków leżało przewrócone krzesło, nogi powieszonego nie dosięgały ziemi.

Spełniła się smutna przepowiednia Benedykta;— burmistrz Fellner przez powieszenie odebrał sobie życie!

(D. c. n.)

ŚWIAT NUDÓW.

Komedya w 3-ch aktach

p. EDWARDA PAILLERON.

Przekład

E. Lubowskiego.

AKT III.

(Dokończenie.)

Scena ósma.

Ciż, KSIĘŻNA (ukazując się).

Księżna. A! wiem dlaczego, bo wam ciemno, jednemu i drugiemu. (Podnosi gaz.) A co?

Roger. Cіociu?

Księżna. Ach, moje dzieci, jakżem przez was szczęśliwa! idź, ucałuj twoją żonę.

Roger. Moją żonę!... Zuzanno! (Patrzy na nią i na księżnę, nareszcie z krzykiem.) Tak!... ja ją kocham!

Księżna (z radością). Jedno widzi już jasno. (Do Zuzanny.) A jakże ty?

Zuzanna (ze spuszczonemi oczami). Ciociu!...

Księżna. Zdaje się żeś i ty przejrzała... kobiety zawsze mają bystrzejsze spojrzenie... co, może nie? Jaki to ładny wynalazek ten gaz... zatem wszystko już dobrze, chodzi tylko o twoją matkę.

Roger. Dlaczego?

Księżna. O! z nią pójdzie ciężko... Ale otóż i ona i wszyscy, cała tragedya!... Ani słówka o tem... zostawcie mnie całą sprawę... Ale cóż się tam znowu dzieje?

Scena dziewiąta.

Ciż, PANI de CÉRAN (zrazu wchodzi z radością, zwolna przez wszystkie drzwi), des MILLETS, JENERAŁ, BELLAC, ŁUCYA, PANI de LOUDAN, PANI ARRIEGO, PAWEŁ i JOANNA (wszystkie osoby z drugiego aktu).

Pani de Céran. Wielka nowina, księżno!

Księżna. Cóż takiego?

Pani de Céran. Rewel umarł!

Księżna. Żartujesz!

Pani de Céran. Piszą o tem wieczorne dzienniki. (Podaje jej dziennik.)

Księżna. Zkądżeż! (Bierze dziennik i czyta.)

Pani Arriego (do poety). Przepysznie!

Pani de Loudan. Bardzo wzniosłe dzieło!

Jenerał. Uwagi godne. Jest tam jeden ładny wiersz.

Des Millets. Panie jenerale!

Jenerał. Tak, tak... Bardzo ładny wiersz, jakto tam? „Honor jest dziś podobny do Boga, który nie ma już ołtarza."

Paweł (do Joanny). Trochę za długi!

Bellac (trzymając dziennik). Umarł o godzinie 6-tej.

Saint-Réault (do swej żony, trzymając dziennik). Tak, o 6-tej ja mam słowo pana Toulonnier.

Bellac (do Łucyi). Toulonnier obiecał mi uroczyście...

Pani de Céran (do księżnej). Toulonnier jest całkiem za nami.

Księżna. A gdzież jest ten twój Toulonnier?

Saint-Réault. Właśnie mu doręczono depeszę.

Pani de Céran (na stronie). Stwierdzającą wiadomość, z pewnością... Lecz dlaczego? (Widząc go wchodzącego.) Ah! nareszcie!

Wszyscy. To on!

Pani de Céran. Mój kochany sekretarzu jeneralny!

Saint-Réault. Kochany panie Toulonnier!

Pani de Céran. I cóż — ta depesza?

Bellac. Zapewne donosi o tym biednym Rewelu, nieprawda?

Toulonnier (zakłopotany). Tak, o nim.

Bellac. I jakże brzmi depesza?

Księżna (patrząc na Toulonniera). Brzmi, że on nie umarł!

Pani de Céran, Bellac i *Saint-Réault* (ukazują dzienniki). Jest w dziennikach.

Księżna. Omylili się tak jak im się to często zdarza — nieprawdaż?

Toulonnier. Istotnie... On nie umarł!

Saint-Réault (padając na krzesło). Jeszcze nie!

Księżna. I zapewne jeszcze go czemś więcej mianowali, założyłabym się o to?

Toulonnier. Komandorem legii honorowej.

Saint-Réault (zrywając się). Zawsze!

Toulonnier (ukazując telegram). Jutro będzie o tem w organie urzędowym... zobacz pan! (Z boleścią do niego.) Wierz mi pan, że współczuję...

Księżna (patrząc na Toulonniera, na str.). Wiedział on o tem, przybywając tutaj, — tęga głowa. (Głośno.) A i ja mam państwu donieść ważną nowinę.

Wszyscy. Co takiego? (Zbliżając się do księżnej.)

Księżna. Mam nawet dwie.

Łucya. Jakto?

Pani de Loudan. Dwie czego?

Bellac. Jakie?

Księżna. Najprzód małżeństwo naszej przyjaciółki Miss Łucyi z profesorem Bellac.

Wszyscy. Z Bellacem?

Bellac (pocichu). Księżno!

Księżna (pocichu). Ba! trzeba naprawić.

Bellac. Tak?... Ha! z wielką przyjemnością. Oh Łucyo!

Łucya. Proszę księżnej.

Księżna (pocichu). Trzeba naprawić, moje dziecię!

Łucya. Nie może tu być naprawy, skoro nie było winy. I dlatego księżna niesłusznie mówi: „Potrzeba".

Bellac. Jakto?

Łucya. Skoro moje uczucia zgadzają się z moją wolą. (Podaje rękę Bellacowi.)

Bellac. Łucyo, Łucyo!

Księżna. Tem lepiej!... Otóż i jedna!

Pani de Loudan. Łucyo, jesteś najszczęśliwszą ze wszystkich kobiet!

Księżna. A teraz druga nowina!

Pani de Loudan. Czy jeszcze małżeństwo?

Księżna. Tak. Jeszcze małżeństwo mojego siostrzeńca Rogera de Céran.

Pani de Céran. Księżno!

Księżna. Z panienką, którą kocham z całego serca.

Pani de Céran. Księżno!

Księżna. Z moją jedyną spadkobierczynią!

Pani de Céran. Ze spadkobierczynią?...

Księżna. Z dziedziczką moich dóbr i mojego nazwiska... z moją córką adoptowaną, panną Zuzanną de Villiers de Reville.

Zuzanna (rzucając się jej w objęcia). Matko moja!

Pani de Céran. Ależ, księżno!

Księżna. Znajdź bogatszą i lepszą rodzinę od mojej, procz cię o to!

Pani de Céran. Nie mówię bynajmniej, tylko... (Do Rogera.) Zastanów się, Rogerze!

Roger. Matko, ja ją kocham!

Księżna (szukając wzrokiem naokoło). Więc już obie nowiny, pozostaje mi jeszcze... (Do Pawła.) Ah! zbliż-no się tu trochę, łaskawco! Jakże pan myślisz naprawić, co?

Paweł (zakłopotany). To to księżna była?

Joanna (zmieszana). Pani wszystko słyszała?

Księżna. Maseczko, tak, wszystko słyszałam.

Paweł. Oj, oj!

Księżna. Lecz ponieważ nie mówiliście tak źle o mnie, zatem przebaczam, a pan będziesz prefektem.

Paweł. Ah! księżno. (Całuję ją w rękę.)

Joanna. Ah, pani! wdzięczność, jak mówi Saint-Evrémont...

Paweł (do Joanny). Daj pokój, teraz już niepotrzeba!...

KONIEC.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

(Dokończenie.)

Obok Matejki spotykamy nowy obraz *Siemiradzkiego* znanego twórcy „Świeczników chrześcianstwa", darowanych wspaniałomyślnie na założenie „Muzeum w Krakowie. Nowy ten obraz zatytułowany *Tyberyusz na Capri*, przedstawia

jedną chwilę z owych dni pełnych grozy, którą przeżyli towarzysze nieubłaganego a krwiożerczego tyrana.

Po śmierci Augusta I-go wstąpił na tron Tyberyusz, który porzucił stolicę a przeniósł swą rezydencyą na Capri, leżącą w zatoce Neapolitańskiej. Skalistą wyspę ozdobił Cezar cudnemi willami, noszącemi nawiska bogów i bogiń, a sam zamieszkał w willi zwanej Jupiter, której ruiny po dziśdzień oglądać można. Tu surowy ten władzca, który tylko trzy razy w życiu się uśmiechnął, przebywał w otoczeniu swych przyjaciół, sług i niewolników przez lat jedenaście od roku 26 do 37 ery chrześ: Z olbrzymiej liczby przyjaciół pozostało przy życiu jedynie dwóch czy trzech, według słów historyka współczesnego, reszta znalazła śmierć gwałtowną, bądź samobójczą, bądź też zamordowano ich z rozkazu cezara.

Jednym z rodzajów śmierci było strącenie z olbrzymiej skały — ten który rano cieszył się względami władzcy, wieczorem zrzucony ze skały, ginął bez wieści; czasami jednak wesoła orgia, bahchantek, tancerek, bezmyślnych niewolnic, gdy wyruszyła wczesnym rankiem nad morze i skierowała swe kroki ku północno-wschodniemu cyplowi, gdzie w oddali wznosiła się morska latarnia według Statiusa — nagle na swej drodze spotykała zamordowanych przyjaciół.

Takąto chwilę posępną obrał sobie Siemiradzki. Jest to poranek chmurny i przededniem, zielone morze szybkiemi bałwanami uderza o nagie skały, w oddali błyska światełko latarni morskiej, a na wyspie pomiędzy skałami u dna przepaści, wśród konarów drzew wisi poszarpana i skrwawiona biała toga, a u stóp drzewa leży trup, oczy otwarte, pełne grozy a strachu, zaszły śmiertelnem bielmem, członki pogruchotane i głowa skrwawiona. Obok trup drugi, snać młodego człowieka, jak karnacya wskazuje i on nieszczęśliwy nie podobał się cezarowi, może nieuważnem słowem, może wzrokiem zbyt śmiałym, a może zupełnie niewinnie li z kaprysu został stracony; widać upadek był ciężki i świeży, bo jeszcze krew nie zaschła co trysnęła ustami, nosem, uszami, która pokrwawiła pieszczony włos i białą szatę.

W miejsce to, tak straszne majestatem śmierci, zbliża się orgia; oto bajadery a flecistki zatoczyły krąg wesoły, pijane to wszystko rozpustą a winem; za tym kręgiem stoi bezczelny i przeżyty senator— i jeden, i drugi w towarzystwie dwu dziewcząt. Ha! spostrzegli trupa, jakiż strach przejął te zwierzęce twarze, czujesz że grobowe *memento mori* powiało nad tą rozpustną rzeszą, senatorowie skamienieli: usta otwarte, uśmiech zamarły na bezwstydnej twarzy! A i kobiety poczuły dreszcze śmiertelne, jednej włos się jeży, oczy zda się straciły władzę ruchu, nagięła się, by bliżej rozpoznać rysy, może dziś jeszcze z nim piła i śmiała się, a teraz on trup!

Każda postać oddana jest z niezwykłą prawdą, każdej przerażenie jest inne, odmienne, a są i takie, które nie wiedząc o strasznem sąsiedztwie, nie wytrzeźwiły się z szału.

Cały obraz jest oświetlony dwoma pochodniami: jedną trzyma kobieta tuż nad morzem, drugą czarny chłopak — światło to wybornie się nadaje do oświetlenia tej sceny.

Obraz ten jako całość pod względem tła, kolorytu i ogólnej grozy jest potężnie oddany, natomiast brakuje mu wykończenia w szczegółach i dodatniej a chociażby tylko pięknej postaci.

Z tych okrutnych scen przejdźmy do innego obrazu, którego temat, każdy umiejący czytać poezye odgadnie, stanie przed obrazem i w pamięci poszuka słów nieśmiertelnego Adama, gdy Robak raniony śmiertelnie leży w pokoju brata i patrząc na Gerwazego mówi: „Jam jest Jacek Soplica."

Obraz *A. Gramatyki* pod tytułem *Spowiedź Robaka*, przedstawia nam komnatę ozdobioną obrazem Maryi Ostrobramskiej, oświetlony lampką olejną, dalej idą rynsztunki wojenne i myśliwskie. Na łożu wpół siedząc spoczywa Jacek Soplica stary, posiwiały, bez sławnych wąsów, które gdy pokręcił trzęsły się zaścianki, twarz wychudzona, ascetyczna, długa, tylko oczy blaskiem jaśnieją i w dal zapatrzone szukają wspomnień dawnych i pięknego obrazu Ewy.

Na łożu usiadł w nogach brat Jacka, w seledynowym żupanie, bogatym pasem przewiązany, usiadł i twarz jego — nic nie mówi: jest to twarz zwykła bez żadnego rzucającego się w oczy wyrazu, ot przeciętny szlachcic hreczkosiej.

W głowach Jacka, tuż obok pali się świeca, a za tym stolikiem z lewej strony chorego stoi Gerwazy Półkozic, zwany scyzorykiem, postać olbrzymia, z tradycyjnym pękem kluczów u pasa, lecz gesty jego są zbyt teatralne: te rozłożone ręce, wysunięte nogi, rodzaj oburzenia w twarzy, nie pozwalają się domyślać, który ustęp spowiedzi miał artysta na myśli. Początek,—nie, gdyż zbyt wysokie wyobrażenie mamy o artyście, by zmieniał słowa Mickiewicza. Jeśli dalszy ciąg, to Gerwazy musi być spokojniejszym, już pierwszy zapęd gniewu zniknął — została rezygnacya i stały zamiar pomszczenia, a nastąpiło przebaczenie: nie wiemy tedy który ustęp jest illustrowany?

Akcesorya obrazu są dobrze dobrane i wykonane; ów sławny rapir, scyzoryk do temperowania głów, przewrócony fotel, rozrzucona broń, świadcząca o niedawnej walce, zamknięte okienice i przebijanie się światła są nader trafnie i szczęśliwie pochwycone, ale sama treść obrazu a raczej przedstawione postacie nie odpowiadają ideałom, które każdy pieści w swem sercu czytając „Pana Tadeusza".

A. G.

KORESPONDENCYA

Z WIEDNIA.

(Dokończenie.)

Wielkiem powodzeniem cieszy się nowy romans w dwóch tomach p. Ottona Müllera, p. n. „Cienie na wyżynach". Pisarz ten jest bardzo lubiony i ceniony od publiczności, odznacza się bowiem wielkiem bogactwem wyobraźni obok nader trafnych poglądów i daru spostrzegawczego, co rzadko chodzi w parze. W „Cieniach na wyżynach" autor przedstawia maleńki dwór niemiecki z jego pretensyami i próżnością. Głównemi postaciami są tu: córka bogatego bankiera i sławny śpiewak opery; w koło nich koncentruje autor główny interes powieści, która rzeczywiście żywe budzi zajęcie.

P. Alfred Meisner jest dziś głównym przedstawicielem młodej słowiańskiej Austryi a głównem jego zadaniem rozbudzanie ducha narodowego. Jego poemat „Ziska" oraz romans polityczno-społeczny „Czarne pieniądze" można zaliczyć do najznakomitszych utworów. Drga w nich żywo nietylko dusza poety, ale dusza prawdziwego patryoty. Jak tylu innych, tak i p. Meissnera chwilowo ogarnia zwątpienie — ludzie podlegają zazwyczaj takim chwilom słabości. Podobnie jak Szekspir i Calderon, pewnego dnia stawił sobie pytanie: czy wszystko to nie było tylko mrzonką, i w takim usposobieniu napisał „Taniec cieni". Nie myślcie jednak że chodzi tu o „Taniec umarłych" — przeciwnie wszystko tchnie siłą, zdrowiem, szczęściem i żądzą życia. W rzeczywistości są to wspomnienia z przeszłości pisane z takiem życiem i świetnością barw, iż najzupełniej zadają kłam tytułowi.

Oprócz powyższych utworów, wyszedł świeżo z druku czwarty tom jego poezyi. Sława Meissnera jako poety od dawna już jest ustaloną; jego „Żydówka" zajmuje pierwszorzędne miejsce w pośród ballad niemieckich. Czwarty ten tom obejmuje niektóre poezye liryczne, bardzo rzewne elegje o jego złamanem szczęściu małżeńskiem i dwa wielkie poematy osnute na tle historycznem. Pierwszy opowiada dzieje zakonnika żyjącego w końcu XIV-go wieku, który słynął trochę jako malarz i poeta. Zakonnik ten, nazwiskiem Werinher, ocalił od zniszczenia piękny starożytny posąg Wenery, odnaleziony w Salzburgu, wmawiając, że jest to postać pokutującej Magdaleny; poczem posąg zabrał do klasztoru. Ale kłamstwo nie wyszło mu na dobre; pogańska bogini zakłóca spokój tego który dał jej przytułek: występna miłość budzi się w sercu zakonnika. Nareszcie zostaje wydalony z klasztoru wraz ze swojem marmurowem bóżyszczem; zachował jednak w sercu wspomnienie uroczej postaci, i odtąd życie jego upływało na układaniu wierszy i hodowaniu róż białych, na cześć swej miłości.

Drugi poemat opisuje dzieje pewnego króla trackiego, przybyłego do Koryntu w czasie największej jego świetności, i który zabrał do swej samotni młodą Greczynkę, córkę malarza Kalistenesa. Zazdrosny jak Otello, zabija ją nareszcie i dostaje pomieszania zmysłów. Łatwo dojrzeć węzeł łączący oba poematy: poeta przedstawia w obu nieprzepartą potęgę piękności, odnoszącej tryumf nad tymi nawet, których powinnoby bronić wyjątkowe położenie i wynikające z niego zawady.

Poetyczna i popularna legenda o Meluzynie, przedstawiona w niej namiętność rzeczywista i prawdziwie ludzka obok fantastycznie rozwijającej się akcyi, niejednokrotnie pociągała poetów i artystów. Obecnie baron von Perfall, jeneralny intendent teatrów w Monachium, nie mógł się oprzeć chęci napisania opery, do której libretto ułożone jest z przygód „Meluzyny i Raimondina". Operze swojej dał tytuł „Raimondin". I tekst i muzyka zyskały ogólny poklask w stolicy Bawaryi. Autor libretta, p. Herman von Schmid, umiał zachować legendzie jej wdzięk pełen prostoty, pomimo zmian i dodatków niezbędnych dla sceny. Muzyka układu p. von Perfall nigdzie nie odstępuje od charakteru poematu. Treść da się opowiedzieć w kilku wierszach.

Ranny Raimondin pada ze znużenia w pobliżu źródła, do którego dojść nie miał siły. Tu nimfa Meluzyna wraz z towarzyszkami swemi chłodzi rozpalone czoło i zaschłe usta młodego bohatera. Odzyskawszy przytomność, Rajmondin olśniony pięknością nimfy, zakochał się w niej i błaga o wzajemność. Meluzyna żąda aby się oddalił i dopiero w oznaczonym czasie przyszedł po odpowiedź. Posłuszny jej rozkazom, oddala się, a Meluzyna z towarzyszkami rzuca się w głębie fal. Zakochany Raimondin wraca do źródła w oznaczonym czasie; wtedy Meluzyna zgadza się, aby zostać jego żoną, z warunkiem jednakże, aby przy-

siągł iż nigdy nie będzie się starał poznać jej pochodzenia. Jak tylko wykonał żądaną przysięgę, źródło zamienia się w przepyszny pałac, i będący w swojem państwie Raimondin, przedstawia narzeczoną swym wazalom. Przybywają do niego w odwiedziny król Akwitanii i jego rycerze, aby poznać jego narzeczonę i dopytują się o jej rodzinę, a gdy nie może zaspokoić ich ciekawości, drwią z niego i szydzą. Rozgniewany i żywo dotknięty, wymaga koniecznie od Meluzyny aby mu wyjawiła ukrywaną tajemnicę—oburzona opuszcza go;— wtedy zrozpaczony ucieka ze swych posiadłości, a gdy po roku wraca do opustoszałego pałacu, zastaje w nim Meluzynę, która przebacza mu i umiera.

Wogóle w całej operze muzyka przewyższa akcyą dramatyczną; kompozytor uwydatnił w niej wybitne charaktery działających osób. Wystawa jest bardzo piękna i poetyczna; prześliczna i nader efektowna jest fontanna Meluzyny, oraz zmiana w mgnieniu oka lasu na obronny zamek z kaplicą. Powodzenie opery świetne i zdaje się nadługo pozostanie w repertuarze.

W dworskim teatrze wiedeńskim (Burgtheater) wznowiono stary dramat Gustawa Freytaga „Podróż narzeczonej", napisany przeszło przed trzydziestu laty. Jest to dramat historyczno-rycerski, silnie nacechowany barwą miejscową. Kostiumy śliczne i malownicze, dekoracye odpowiednie pomimo podeszłego, jak na dramat wieku,—sztuka ma wielkie powodzenie. Autor przedstawia na scenie historyą Maksymiliana Austryackiego, i umiał pokonać trudności nieodstępne od takiego zadania, w którem mieszanina prawdy i zmyślenia osłabia zazwyczaj zajęcie. Wartoby utrwalić na płótnie niektóre dekoracye, obrazy ugrupowane i układ sceniczny.

Z nowych dramatów zasługuje na wzmiankę „Powrót" A. Maya,—na każdem przedstawieniu głośne oklaski wynagradzają autora. Główną treścią dramatu jest starcie psychologiczne wynikające z różnicy dwóch charakterów. Młody mechanik, nazwiskiem Meerfeld, pojął za żonę córkę ubogiego muzykanta. Przez dwa lata cieszyli się szczęśliwem pożyciem, ale pomimo największych wysileń, Meerfeld nie był w stanie polepszyć smutnego położenia na jakie ubóstwo jego wystawiało ukochaną żonę i dwoje ich dzieci. Żona widząc jak mąż daremnie zamęcza się pracą, postanowiła skorzystać ze swego talentu i zostając śpiewaczką zapewnić rodzinie byt dostateczny; a widząc iż Meerfeld nie zezwoliłby na to, wiec skrycie opuszcza domowe ognisko. Mąż nie znając naturalnie szlachetnych pobudek kierujących postępowaniem żony, przypisuje je próżności i zobojętnieniu. Upłynęło lat wiele, żona mechanika występująca pod przybranem nazwiskiem Angeliki Felsing, zdobyła majątek i sławę — ale i jemu los się uśmiechnął, stał się bogatym przemysłowcem. Syn, odziedziczywszy naturę i usposobienie matki, czuje w sobie nieprzeparte powołanie artystyczne; córka przeciwnie przejęła chłodny i praktyczny charakter ojca, i zato więcej od brata jest przez niego kochaną. Angelika Felsing, pani Meerfeld, nie przestała kochać męża, i obecnie zebrawszy majątek, pragnie powrócić do życia rodzinnego, do którego więcej była stworzoną niż do burzliwego życia artystki. Stary doktor, który zawsze wysoko ją cenił i poważał, podejmuje się wprowadzić ją do domu męża w charakterze nauczycielki muzyki — lecz po pierwszej zaraz rozmowie z córką, nadchodzi mąż, poznaje żonę i ztąd wywiązuje się scena nader gwałtowna, w której, wobec dzieci wyrzuca jej gorzko opuszczenie domowego ogniska. To powoduje powtórne rozłączenie; ale syn wziął stronę matki i udał się za nią, córka pozostała przy ojcu. Nie może ona jednak zapomnieć o matce, którą poznała, i biedny ojciec widzi, że nie jest już wyłącznie kochanym przez córkę. Zawiadamiana przez doktora o wszystkiem co się dzieje w rodzinie, wyrzucając sobie, iż jest powodem rozdwojenia między dziećmi i ojcem, zdobywa się na nowe poświęcenie w celu ścisłego ich pojednania, zmyśla jakąś historyą występnej miłości, dla której niby to opuściła męża. Ma się rozumieć, że prawda wychodzi na wierzch, a mąż rozrzewniony tak bohaterskiem zaparciem siebie, czuje budzące się uśpione tylko w swem sercu uczucie i przebacza żonie, która nie przestała być godną jego szacunku.

Dramat miał wielkie powodzenie tak na scenie monachijskiej gdzie najpierw był przedstawiony, jak i na wiedeńskiej, pomimo najzupełniejszego nieprawdopodobieństwa na jakiem jest osnuty. Czyż można przypuścić, aby kobieta kochająca męża, cnotliwa i tylko przez poświęcenie z żalem w sercu opuszczająca domowe ognisko, tak długo taiła przed nim powody swego postępowania? Jakim sposobem wytłomaczyć, iż jak tylko mąż czy ona sama doszła do posiadania majątku, nie powróciła zaraz do opuszczonej rodziny? Dla czegoż wreszcie nigdy nie zapragnęła zobaczyć dzieci? Choć i to przyznać trzeba, że bez podobnych nieprawdopodobieństw, stanowiących węzeł akcyi, nie utrzymałaby się większość sztuk dramatycznych. Ale sztuce p. May można uczynić jeden jeszcze zarzut, mianowicie, że ostatni akt jest zbytecznym, gdyż rzeczywiście kończy się już w akcie trzecim, w którym niewinność żony najzupełniej jest udowodniona.

Na tem skończymy krótkie nasze sprawozdanie o ostatnich nowościach literatury niemieckiej w Wiedniu; wszyscy niemal autorowie, których utwory podaliśmy, byli obecni na kongresie literackim.

Do młodego filozofa!

O! nie szukaj prawd w nicości!
Bo zwątpienie gdy zagości
W twojej duszy, dziś tak świeżej,
Już na zawsze ci odbierze
Spokój, szczęście, miłość, wiarę,
Tylko wspomnień straszną marę
Obok siebie znajdziesz wszędzie —
Ona ścigać ciebie będzie,
Jak zbrodniarza jęk ofiary,
Jakby wyrok wiecznej kary!

. . . .

Dziś bez troski twoje czoło
Wszędzie jasno i wesoło,
Świat się cały tobie śmieje,
Bo marzenia i nadzieje
Niestargane w sercu młodem,
Nie zmrożone zwątpień chłodem!

. . . .

Wierz mi! szczęścia nie ma w burzy,
I gdy niebo raz się schmurzy,
Kiedy wzruszeń błyskawice
Rozpłomienią twoje lice,
Kiedy w czystym twojem łonie,
Wulkaniczny wir zapłonie,
I twa dusza w nim utonie,
Straszne wtedy przejdziesz chwile!
Mąk tysiące — cierpień tyle,
Świat ci cały zda się pusty,
I spiekłemi szepnjesz usty:
„Wróćcie, wróćcie dni me młode,
Wróćcie wiarę i swobodę,
Ja wam oddam moje księgi,
Wszystkie wiedzy mej potęgi,
Za dziecięcych chwil pustoty,
I za uśmiech szczęścia złoty!"

A więc głowę schroń przed ciosem,
Za szyderców nie idź głosem,
Nierozważne cofnij słowa!...
O! bo gdyby sam Jehowa,
Królujący wśród błękitu,
Spojrzéć zechciał tu ze szczytu,
Gdyby zajrzał w twoje serce,
I zobaczył w poniewierce,
Te najświętsze skarby życia,
Które matka od powicia,
Swojem słowem i uściskiem,
Brylantowych łez odbłyskiem,
Zaszczepiała w duszę młodą,
Abyś z wiarą i swobodą
Życia drogę przeszedł całą,
Ufnie, mężnie, dzielnie, śmiało, —
On by nawet schmurzył lice,
I przekleństwa błyskawice
W twoją młodą rzucił duszę,
Kędy wszystkich mąk katusze,
Rozpacz znalazłbyś tam wściekłą,
Ach! i całe Danta piekło.

. . . .

Więc obłudne zerwij pęta,
Wróć gdzie prawda mieszka święta,
Wierz w co wierzyć ci kazano,
Przed Najwyższym schyl kolano,
Kochaj prawdę, módl się szczerze,
I powtarzaj swe pacierze
Z tą dziecięcą świętą wiarą,
Jak świat piękną, jak świat starą!

Natalja Dzierżek.

WYSTAWA OGRODNICZA.

Za inicyatywą redakcyi „Ogrodnika Polskiego" została urządzoną i otwartą pierwsza ogólna wystawa ogrodnicza w Warszawie, w Dolinie szwajcarskiej dnia 21 września b. r.

Niepodobna nam zastanawiać się szczegółowo nad licznemi przedmiotami, których znaczną ilość nadesłano na wystawę, przyjrzyjmy się tylko ogólnie. Wrażenie sprawiała wystawa bardzo dobre pod względem estetycznym, okazy ustawiono w głównej sali, w samej Dolinie i krytym chodniku.

Salę przyzdobiono wykwintnemi kwiatami, ustawionemi w kląby, bukiety, wieńce i gerlandy. Część prawą od wejścia i estradę zdobiły okazy p. Urlicha, świadczące o kwitnącym stanie jego ogrodu. Widzieliśmy w tym dziale piękne kształty bukietów, począwszy od skromnych a skończywszy na bogatych i tylko zamożnym dostępnych bukietach, i podkłady do nich, począwszy od papierowych koronek, do atłasowych i niepokaźnych

ale estetycznych wazoników zdobnych piękną ornamentacyą.

Z kwiatami p. Urlicha spółzawodniczyły okazy braci Bardet i p. Hozera przeważnie z cieplarni, wymagające znacznego nakładu i troskliwej opieki.

Ogólną uwagę zwracał stolik kwiatowy, istne cacko i arcydzieło kunsztu ogrodniczego.

W środku sali ustawiono klomby z ogrodu Frascati, Wilanowa i Łazienek, które się imponująco przedstawiały.

Pod werendą w rząd ustawione wazoniki kwiatowe, nęciły znawców swoją oryginalnością: tu także umieszczono szafkę z narzędziami i przyborami ogrodniczemi.

Właściwa dolina roiła się od pięknych okazów drzew i krzewów większych rozmiarów, a karłowate, doniczkowe drzewa owocowe z ogrodu Frascati zaledwie zdołały unieść znaczną liczbę pysznych owoców.

Z willi Cesinek w Pruszkowie nadesłano oryginalną kolekcyą 50 drzew iglastych a również i Wilanów dostarczył w tym dziale bardzo pięknych okazów.

Dwie altany przeznaczono na owoce, które zachwycały widzów; ze wsi Pniewy przysłano 10 odmian gruszek i 10 odmian jabłek, dotychczas prawie nieznanych; zupełnie oryginalną odmianę jabłek nadesłała pani Pruszyńska z Koszlak (gub. Kijowska) 120 odmian gruszek i jabłek żmujdzkich nadesłał p. Ławrynowicz z Potruszla (gub. Kowieńska), okazy winogron w 66 odmianach przedstawił p. L. Szczygielski z Warszawy i. t. d,

Z działu warzyw ogólną uwagę zwracały w krytym chodniku, okazy nadesłane z Woli, a mianowicię ogórki i kapusta brunszwicka, dalej warzywa braci Kaczyńskich, Hozerów, melony p. Krajewskiego, bardzo piękne odmiany kartofli p. Skibińskiego z folwarku Gródek, olbrzymie dynie pani Sarnowskiej, wreszcie okazy z Wilanowa i Natolina.

W katalogu wystawy było 69 wystawców aczkolwiek liczba ta nie jest ścisłą, gdyż wiele okazów nadesłano później.

Przeważna większość wystawców była z Warszawy lub też z pobliskich okolic; najliczniej przedstawiała się gubernia Radomska—brakło zupełnie okazów ze znanych ogrodów: arkadyjskiego, nieborowskiego, marchwaczowskiego (pow. Kaliski) i. t. d., a co najdziwniejsza, tutejszy ogród botaniczny nie wziął udziału w wystawie.

Komitet zajmujący się wystawą ogrodniczą, połączył naukę z estetyką i praktycznemi korzyściami: wystawiono zielniki, plany ogrodów wzorowych, narzędzia, pilniki i t. d. Ustalono nomenklaturę ogrodniczą i nowym odmianom nadano nazwy.

Na dwie kategorye podzielono okazy wystawy, na przedstawione do konkursem i po za konkursu.

Program wyznaczył 64 konkursów, z których na dział warzyw przypada 13, na owoce 13, na drzewa owocowe 11, na rośliny 24 i na dział kwiatów 3. Konkursy te mają jeszcze swe poddziały stosownie do rodzaju okazów.

Dla konkursów przeznaczono medale: złoty, dwa srebrne, (jeden wielki, drugi mały), bronzowy i list pochwalny.

Medale złote przyznano: 1) C. Ulrychowi za rośliny do hurtowej sprzedaży, za bukiety i za szkółkę drzew owocowych; 2) braciom Hozer, za rośliny cieplarniane, za odznaczające się palmy i za owoce; 3) pułkownikowi Kucyńskiemu za okazy roślin storczykowych i owadożernych, oraz za wzorową kulturę rzadkich roślin cieplarnianych; 4) potwierdzenie złotego medalu z wystaw w Retowie i Szawlach ogrodowi pomologicznemu, za największą kolekcyą owoców; 5) takież potwierdzenie braciom Bardet za biżuterye kwiatowe.

Razem rozdano trzy podziękowania, pięć medali złotych, ośm srebrnych wielkich i jedenaście małych, czternaście bronzowych i trzydzieści pięć listów pochwalnych.

Urządzenie wystawy kosztowało 1500 rs., znaczne jednak nakłady ponosili sami wystawcy.

Również odczytany został projekt „Towarzystwa ogrodniczego", który po zbadaniu przedstawiony będzie do zatwierdzenia władzy wyższej.

Skutki wystawy widzimy w zapoznaniu kraju z roślinami i owocami, które nadają się do naszego klimatu, dalej obudzenie ogrodnictwa ku produkcyi nasion, szczepów i owoców na własną naszą potrzebę a kto wie czy i nie na wywóz wschodni.

W.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Dominik Santagata profesor uniwersysetu w Bolonii i prezes Akademii Mickiewicza, odbył w tym roku podróż za granicę, w celu poznania instytucyi naszych; w podróży tej zwiedził jedno z muzeów szwajcarskich, i oto co pisze o niem w liście do redakcyi „Tygodnika Illustrowanego."

„Rzeczywistość przeszła moje oczekiwanie; muzeum to założone przez człowieka prywatnego, przybrało charakter instytucyi publicznej: Zwaliska starożytnego zamku Habsburgów, zamieniły się w piękne komnaty, a gdy ukończy się restauracya wyższych piętr, zbiory rozłożone w dwudziestu salach, mieć będą jedno z najświetniejszych pomieszczeń w Europie, w miejscowości zachwycającej, zwiedzanej corocznie przez tysiące podróżnych. U głównego wejścia, prowadzącego na wielkie w ogród zamienione podwórze, znajdują się kamienne popiersia Kazimierza Wielkiego i Jadwigi. Zbiory niezmiernie są bogate, zwłaszcza w dziale poświęconym starożytnym monetom i medalom polskim jako też utworom sztuki polskiej, pomiędzy któremi sztychy Falcka zajmują oddzielną salę. Z pośród tysięcy fotografii, 13 albumów obejmuje same polskie portrety, w liczbie 3,200. Zasługują także na uwagę zbiory chorągwi narodowych z różnych epok, oraz zbiór pieczęci, ofiarowany przez Kraszewskiego. Najbogatszym jednak jest oddział rękopismów, obejmujący 15,000 aktów i dokumentów historycznych i dyplomatycznych, oprawnych w 100 tomów, ze zbiorów Leonarda Chodźki zajmującym też bardzo jest rękopism oryentalisty Pietraszewskiego, w 200 arkuszach, poświęcony stosunkom międzynarodowym Turcyi z Polską i Rossyą, a skreślony według latopisarzy tureckich. Cenną także pamiątkę stanowi rękopism jenerała Dąbrowskiego i jego przeciwnika, o legiach włoskich.

Biblioteka liczy 40,000 tomów, oprócz kilku tysięcy dubletów. Znajdują się w niej liczne autografy polskie i obce, listy Stanisława Augusta i różnych znakomitości. Między pamiątkami historycznemi najcenniejsze odnoszą się do Jana Sobieskiego, Stefana Batorego, Kościuszki, ks. Józefa Poniatowskiego i. t. p. W czytelni znajduje się około 60 pism, ofiarowanych przez redakcye różnych krajów. Moralna wartość tego zakładu jest nieoceniona; wartość materyalna przenosi milion franków. Muzeum otwarte jest codziennie przez cały rok i wzbogaca się ciągle nowemi darami lub nabytkami."

Szanowny profesor pragnie gorąco zwiedzić kiedyś Warszawę.

+ Pod tytułem „Noblesse oblige Berl. Börs. Cour." podaje wiadomość o pięknym czynie „polskiego pana" hr. Zamojskiego. Hr. Z., spadkobierca majątku ś. p. Jana Działyńskiego, przybywszy po raz pierwszy do nowo odziedziczonych w Poznańskiem majątków, dowiedział się iż wiele włościańskich rodzin okolicznych powracających z Ameryki, gdzie zamiast spodziewanych złotych gór, czekała ich najstraszniejsza nędza, znajduje się w Amsterdamie bez dachu i kawałka chleba i nie ma o czem wracać do kraju. Ratując biedaków, przeznaczył dla nich znaczną sumę, nadto sam udał się do Amsterdamu, aby sprowadzić do kraju nieszczęśliwe ofiary nieuczciwych wyzyskiwaczy.

Kończąc doniesienie to, „Berl. Boers. C." dodaje: „Niewielu znalazłoby się w Niemczech panów, podobnych jak hr. Zamojski,"—my dodamy: bodajby więcej takich było u nas!...

+ W następstwie podniesionej w prasie naszej przez d-ra Markiewicza sprawy kolonii wakacyjnych dla niezamożnych dzieci, hrabina Stanisławowa Potocka, z Rymanowa w Galicyi, jak donosi „Kur. Warsz." oświadczyła gotowość umieszczenia u siebie stu biednych dzieci na przeciąg przyszłych letnich wakacyi szkolnych. Czcigodna ta pani, założycielka szkoły rzeźbiarskiej i gorliwa filantropka, przyjmuje na siebie całkowite utrzymanie dzieci i przewóz ich na kolejach galicyjskich. Miejmy nadzieję że przykłady dane przez hr. Zamojskiego i hr. Potocką znajdą naśladowców

+ Jeden z podróżników miał sposobność widzieć w Norymberdzie piękną pamiątkę po Janie Sobieskim. Jest to róg myśliwski ofiarowany zbawcy Wiednia przez cesarza Leopolda czy przez toż miasto. Róg ten wydrążony w jednej sztuce słoniowej kości, ma przeszło metr długości; zwierzchnią część rzeźbioną rozpoczyna rzeźba krokodyla, na grzbiecie rozmaite utarczki wojenne, grupy poległych Turków; w środku popiersie bohatera w królewskiej koronie, poniżej godła wojenne herby austryackie i Sobieskiego. Według ustnego podania, róg ten był własnością Tadeusza Kościuszki, i ten przed śmiercią darował go przyjacielowi swemu, prezydentowi rzeczypospolitej szwajcarskiej. Na licytacyi po śmierci prezydenta, róg ten nabył ktoś obcy i przechowywany był w rodzinie jako pamiątka familijna. Obecny posiadacz ma zamiar go sprzedać—może zechce go nabyć jakiś zamożny miłośnik narodowych pamiątek. Wiadomości o tym rogu zasięgnąć można u Henryka Schmita, aktuaryusza i tłomacza przy sądach w Norymberdzie. (Justiz-Palast Nr. 57.)

+ Z Charkowa piszą do „Gazety Polskiej" co następuje o Polakach uczących się w miejscowym instytucie weterynaryjnym.

W ogólnej liczbie 400 studentów, znajduje się 30 Polaków. Posiadają ogólną czytelnię pod zarządem wybranego z ich grona. Korzystający z niej, składają półrocznie po 40 groszy — co, jak widzimy, stanowi zasiłek bardzo niedostateczny. Dzienniki rosyjskie wszystkie nadsyłane są bezpłatnie. Z pism polskich otrzymują bezpłatnie „Ateneum" a parę innych za zniżoną cenę. Większość studentów polskich nie posiada żadnych fun-

duszów i utrzymuje się z lekcyi prywatnych, nie są więc w stanie prenumerować pism naszych ważniejszych, tem więcej, że Charków nie odznacza się taniością, a więc dla ludzi ubogich życie w nim jest bardzo trudne. Pragnęliby gorąco posiadać więcej pism polskich, wiemy że wielu z prenumerujących je u nas nie zbiera kompletów, może więc raczyliby przesyłać je po przeczytaniu, tęskniącym do nich ziomkom.

+ Powieściopisarze nasi zaczynają być cenieni u obcych i odpowiednie pobierają honoraria ze swe utwory. T. I. Jeż, którego „Uskoki" przetłomaczone na język francuzki wielkie znalazły powodzenie, otrzymał 12,000 fr. od jednego z wydawców za powieść napisaną w języku francuzkim. Obecnie zajęty jest wykończeniem nowej powieści francuzkiej, za którą ma otrzymać 20,000 fr. Dzięki temu, autor „Krwawych dziejów" liczną obarczony rodziną i często walczący z niedostatkiem, ma zapewniony byt i przyszłość; jedna powieść napisana po francuzku, zapewnia mu honorarium jakieby ledwie za 20 polskich otrzymał.

+ Idąc wzorem wielkich stolic europejskich Londynu, Paryża i Wiednia, Włochy zamierzają urządzić w Rzymie w r. 1885 wielką wystawę powszechną mającą obejmować wszelkie wytwory umysłu i działalności ludzkiej, jednakże z samej natury kraju tego wynika, że przemysł, ustępując pierwszeństwa sztuce, zajmie drugorzędne stanowisko. Pod względem sztuki, będzie to pierwsza w swoim rodzaju wystawa; albowiem obok wystawy tegoczesnych dzieł sztuki we Włoszech i w całej Europie, urządzona będzie ogólna wystawa sztuki włoskiej, w całym jej historycznym rozwoju. Wszystkie publiczne i prywatne galerye półwyspu przyślą do Rzymu najcelniejsze utwory wielkich mistrzów; co tylko odmalowano znakomitego od czasów Cimabuego i Giotta, będzie tym razem zgromadzone; będzie można ogladać jednocześnie wszystkie prace takich mistrzów jak np.: Rafaela, Michała Anioła, Correggia, Tycyana i t. d., gdyż nawet za granicą znajdujące się główne arcydzieła tych mistrzów, mają być, o ile się da, sprowadzone. Najznakomitsze freski, jako nie dające się przewieźć, ukażą się w doskonałych kopjach. Obok dawnych i nowi artyści włoscy i całego świata przedstawią prace swoje; zestawione tam będą wszystkie kraje i szkoły i umieszczone wobec starożytnych szkół włoskich. Siemiradzki przygotowuje na tę wystawę wielki obraz; zdaje się nawet, że dla naszych artystów urządzony będzie dział oddzielny, czego dotąd nie było na żadnej wystawie. Od kilku już miesięcy zawiązał się komitet wystawy powszechnej rzymskiej, a sekretarz jego pan Cezar Orsini, zawiązał już stosunki z wielu stolicami europejskiemi, w których ustanawiają się odpowiednie komitety.

Można wnosić że wystawa powszechna rzymska, przewyższy świetnością i pięknością jako też liczbą zwiedzających ją wszystkie dotychczasowe wystawy, albowiem historycznie i religijnie Rzym jest stolicą świata; wieczne miasto zawdzięczy przytomności Ojca św., że przybędzie tu więcej katolików ze wszystkich części świata, aby zarazem złożyć hołd Głowie Kościoła i oglądać wystawę powszechną. Od blizko dwóch tysięcy lat Rzym jest jedynem miastem „powszechnem" na kuli ziemskiej, zatem wszelki zjazd „powszechny" tu najlepiej udać się musi. Tu spotkają się wszystkie narody, zachęcone dzisiejszą łatwością komunikacyi do coraz ściślejszych wzajemnych stosunków; będzie to wielki i uroczysty widok — szczęśliwy kto będzie mógł wziąć udział w tym olbrzymim wiecu ucywilizowanego świata!

+ Jak donoszą dzienniki warszawskie, wkrótce przybyć ma do Warszawy na gościnne występy p. Antonina Hoffmanowa z Krakowa. Artystkę tę poprzedza sława zdobyta talentem i pracą na innych scenach polskich, zwłaszcza na scenie krakowskiej, której od kilkunastu lat jest prawdziwą ozdobą i podporą. Pani Hoffmanowa zawód swój artystyczny rozpoczęła na scenie warszawskiej przed dwudziestu laty w komedyi „Kamień probierczy" i już wtedy krytyka zwróciła uwagę na młodziutką początkującą debiutantkę. Artystka ta grać będzie poważniejsze role w dramatach i komedyach, w których jest oryginalną i wytworną wykonawczynią.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 14 Октября 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

DZIEDZICZKA.

PRZEZ

FLORENCYĘ MONTGOMERY.

Przekład

K. P.

TOM I.

(Dalszy ciąg.)

Harold odzyskał nadzieję, i to tak dalece, że postanowił oświadczyć się powtórnie dopiero w wigilię dnia w którym miał obchodzić swą pełnoletność, aby nazajutrz mógł przyjmować jednocześnie powinszowania z powodu dojścia do lat i przyszłego ożenienia.

Co do Estery, pomimo wszelkich argumentów przywodzonych przez brata i bratową, w celu nakłonienia jej do przyjęcia ofiarowanego jej serca i ręki, argumentów dochodzących niekiedy, na nieszczęście, aż do groźby, nie zachwiała się ani na chwilę w swojem postanowieniu. Zrozumiała nakoniec jak dalece było przykrem jej zależne położenie, i sądząc że usiłowano jej to dać uczuć dla złamania jej oporu, oświadczyła, że wolałaby opuścić dom brata i zostać nauczycielką, niżeli zaślubić człowieka którego nie kochała, pomimo wszystkich jego tytułów i majątku.

Edward Stanhope zrozumiał wtenczas że posunął się za daleko. Wiedział że Estera posiada charakter stały i energiczny, i obawiał się aby nie doprowadziła do skutku swego zamiaru, tem więcej że posiadała wszelkie niezbędne do tego warunki, ponieważ długo pobierała wspólnie z nim nauki, i to z prawdziwą dla siebie korzyścią. Wiedział że to nie była tylko czcza pogróżka, i dla tego też przestał ją namawiać, i nakłonił żonę aby poszła za jego przykładem. Uczynili wszystko co było w ich mocy, teraz lepiej porzucić ten zamiar, przynajmniej do pewnego czasu.

Odtąd rzeczywiście zachowywali względem niej tylko zbrojną neutralność.

W tym właśnie czasie Godfred przyjechał do Seaforth.

Zawezwany przez ojca aby uczestniczył w uroczystym obchodzie pełnoletności Harolda, byłby się wymówił od tego z pewnością, gdyby nie potrzebował tak bardzo pieniędzy. Ale że miał właśnie odwołać się po raz czwarty do szczodrobliwości ojca, uważał że lepiej zastosować się do jego woli, tem więcej, że osobista rozmowa z lordem Seaforth może być dla niego korzystniejszą nad listowną, przechodzącą zapewnie przez ręce starszego brata.

Przedstawił się więc na plebanii w poetycznej roli ofiary praw społecznych, poświęconej arystokratycznym dążnościom angielskiej rodziny. Łatwo odgadnąć następstwa. Piękna Estera oczarowała zarówno Godfreda jak jego brata, jej przykre położenie budziło w nim oburzenie, litość, jakieś romantyczne uczucia, co nadawało mu jakąś cechę rycerskości. Każda zresztą osoba niechętna dla Harolda, byłaby pozyskała jej współczucie, jakże więc mogło być inaczej gdy szło o dziewczę tak młode i piękne! Nie chciał poprzestać na czczem ubolewaniu nad jej położeniem; potrzebował stanąć w jej obronie!

Godfred myślał zawsze tylko o teraźniejszości, nie troszczył się nigdy o przyszłości, nie pomyślał więc także jaką bierze na siebie odpowiedzialność, kiedy przejęty współczuciem dla Estry, oświadczył jej swą gotowość wyzwolenia jej od prześladowania.

Trzeba także dodać, że jeżli nie zwracał uwagi na kwestye pieniężne, to także nie pomyślał o tem że wydatki jego muszą się powiększyć skoro się ożeni. Nierozważny jak zawsze, wzywał ją aby dzieliła los jego, i wraz z nim dążyła do niedostatku a może i biedy.

Esterze Godfred podobał się głównie dla tego, że był całkiem niepodobnym do Harolda; jego charakter żywy, namiętny, jego gorące dla niej współczucie wzruszały jej serce i przenikały je wdzięcznością.

Nie było w nim tej niezłomnej surowości, tej chłodnej nieugiętości charakteru, która ją raziła zarówno w jej własnym bracie jak w Haroldzie.

Wprawdzie nie słyszała nigdy nic dobrego o Godredzie, ale w obecnem usposobieniu umysłu wytłomaczyła sobie łatwo, że go osądzono niesprawiedliwie i że był ofiarą zbytniej surowości brata.

Wkrótce, dzięki swej żywej wyobraźni, utworzyła sobie z niego jakiegoś męczennika. Tak, brat był dla niego niesprawiedliwym, nie umiał go ocenić i zrozumieć! Powinna stanąć po stronie uciśnionego, idąc w tem za jego przykładem! Wierzyła mu, ubolewała nad nim, i pokochała.

Gedfred poczynił wszelkie przygotowania potajemnie, i w przeddzień pełnoletności Harolda, w tenże sam dzień w którym zamierzał oświadczyć się jej powtórnie, została żoną jego młodszego brata.

Ślub odbył się w Londynie, i wieczorem odebrano już w Seaforth telegram zawierający tę wiadomość.

Była to kropla przepełniająca czarę. Zmieniała ona zupełnie program, według którego Harold pragnął przepędzić życie, i zamieniła jego niechęć do brata w zaciętą nienawiść.

Swietna uroczystość w dniu jego pełnoletności, szczęśliwe ożenienie, życie użytecznie spędzone w rodzinnem gnieździe obok ukochanej żony... wszystkie te jego złote marzenia rozpierzchły się na zawsze.

Dzień urodzin, którego oczekiwano tak niecierpliwie, przeszedł tak jak wszelkie inne, tylko może smutniej jeszcze. W pierwszej chwili odłożono na później przyobiecane zabawy i widowiska, a następnie zaniechano ich zupełnie.

Harold odtąd stał się jeszcze surowszym i więcej zamkniętym w sobie; unikał wszelkiego towarzystwa, zajmował się wyłącznie poprawieniem gospodarstwa w swych dobrach i czuwał gorliwie nad chorym ojcem.

Najlepszym dowodem goryczy jego uczuć i głębokości zadanej mu rany, był pośpiech z jakim wystarał się, dzięki wpływom posiadanym przez ojca, o probostwo zależące od rządu dla Edwarda Stanhope, którego obecność powiększała jeszcze jego boleść.

Dobra Seaforth stały się jego bożyszczem, pracował gorliwie nad zaprowadzeniem tam różnych ulepszeń i zdawał się widzieć w tem główny cel swego życia.

Rok upływał po roku, a w jego usposobieniu nie zaszła żadna zmiana, stronił zawsze od ludzi, i w końcu zdziwaczał trochę, jak to zwykle bywa gdy ktoś prowadzi bardzo samotne życie.

IV.

Postanowienie lorda Seaforth.

Wiadomość o małżeństwie młodszego syna tem więcej oburzyła hrabiego, że Godfred postępił z nim obłudnie. W wigilię swego ślubu mówił z takiem zajęciem o zamierzonem małżeństwie Harolda, i zdawał się tak szczerze żałować za swe naganne i lekkomyślne postępowanie, że ojciec wzruszony tem, nietylko że obiecał zapłacić jego długi, ale jeszcze dał mu do rąk czek na dwanaście tysięcy franków.

Taki brak prawości i honoru oburzył tak dalece hrabiego, że o mało nie przysiągł, uniesiony gniewem, że nie da mu już nigdy pieniędzy, choćby miał umrzeć z głodu! Ale Harold zapobiegł temu.

Jako człowiek gruntownie uczciwy, nie mógł pozwolić na to aby ojciec pod wpływem uniesienia powziął postanowienie tak zgubne dla Godfreda, o które zresztą jego oskarżanoby głównie, upatrując w nim chęć zemsty. Dbały przedewszystkiem o honor rodziny, chciał uchronić nazwisko Seaforth'ów od najlżejszej skazy. Z drugiej strony, serce nie pozwalało mu przyczyniać się do cierpień kobiety którą kochał tak bardzo.

Jakkolwiek stosunki z Godfredem zostały zerwane, dowiedziano się wkrotce, że rozrzutność jego i namiętność do kart wzmagała się prawie z każdym dniem, czego dowodem były rachunki przychodzące do Seaforth w takiej liczbie i na takie summy, że w końcu hrabia i Harold zostali zmuszeni szukać sposobu zmienienia tak niepokojącego stanu rzeczy. Trzeba było przewidywać bardzo smutne następstwa: Godfred będzie zmuszony podać się do dymissyi i wyjechać z kraju. Chcąc uchronić się od podobnej hańby, trzeba wymódz na nim aby dobrowolnie wystąpił z wojska, i wyjechał za granicę przynajmniej na kilka lat, i pod tym jedynie warunkiem zgodzić się na zapłacenie raz jeszcze jego długów. Harold potrafił przekonać ojca o konieczności przeprowadzenia tego planu, ale niestety! już było zapóźno!

Przyszedł list od Godfreda, w którym donosił ojcu że jest zmuszony wyjechać natychmiast z Anglii. Głównym powodem jego nieszczęść miało być to że ojciec nie chciał zapłacić za niego długów, pomimo obietnicy uczynionej mu w wigilię jego ślubu. Potem skreślił przejmujący opis niedostatku w którym znajdował się wraz z żoną, i odwoływał się do serca ojca. Była to ciężka boleść dla Harolda. Jakież to upokorzenie dla niego że postępowanie jego brata będzie roztrząsane w klubach. Postanowił wtenczas że nigdy już nie pozwoli Godfredowi wrócić do Anglii. Ten który zniesławił nazwisko Seaforth'ów nie przestąpi już nigdy progów ich rodzinnego zamku. Godfred Seaforth przestał istnieć dla ojca i brata, i nawet imię jego powinno być zapomniane!

Ta która była jego żoną, musiała podzielać los jego, ale nie powinna być wystawioną na głód i nędzę. Harold doradził ojcu aby wyznaczył Godfredowi stałą pensyę, ale pod pewnemi warunkami.

Pobierać będzie co rok pewną oznaczoną summę,

dopóki nie wróci do Anglii; w razie zaś powrotu do kraju, utraci natychmiast i bezpowrotnie wyznaczoną mu pensyę. Niestety! Godfred miał tak słabe poczucie osobistej godności, że przystał z łatwością na tak ciężkie warunki. Zamieszkał najpierw w Homburgu, zkąd robił częste wycieczki do Ems i Spa, a gdy w Niemczech zamknięto wszystkie domy gry, osiedlił się już stale w okolicach Monako.

Nie pisywał nigdy do ojca i nie odbierał od niego wiadomości, a brat i ojciec przesyłali mu punktualnie pensyę, ale nie wspominali wcale o nim.

V.

Próżna walka.

Mówiliśmy już że Harold stronił od ludzi, i stał się poniekąd dziwakiem, dla tego też wszyscy dziwili się że pracował tak gorliwie nad zaprowadzeniem w swych dobrach wszelkich ulepszeń, skoro jedynym jego spadkobiercą był szuler wygnany z kraju.

Nie wiedziano o tem że Harold dążył wytrwale do celu, który sam sobie oznaczył; że już od dawna pracował nad urzeczywistnieniem jemu tylko znanego planu. Nikt nie domyślał się ile on wycierpiał, ani też jak usilnie, z jaką odwagą walczył ze swą boleścią i starał się ją stłumić. Włosy jego zaczynała przyprószać siwizna; zmarszczki występujące na twarz, zdradzały jego udręczenia. Bóg nie mógł zesłać już cięższej, straszniejszej próby temu człowiekowi tak dumnemu, iż przełożyłby śmierć nad to upokorzenie, że odrzucono jego serce.

Sama myśl o tem że człowiek bez charakteru, zasługujący na pogardę, potrzebował ukazać się tylko aby otrzymać nad nim zwycięztwo, doprowadzała go chwilami prawie do szaleństwa. A jednak jakież to ciężkie staczał z sobą walki aby przezwyciężyć swą boleść i zapanować nad miotającą nim rozpaczą! Lecz co bądź by z tego wyniknąć miało, choćby mu przyszło zadać gwałt najdroższym swoim uczuciom, nigdy Seaforth nie dostanie się takiemu szulerowi i hulace!

Należało czuwać nad tem, aby ów Seaforth, to bożyszcze jego, nie było pozbawione swego znaczenia i świetności. Bez pani domu piękna ta posiadłość mogła mieć zaledwie połowę swego uroku, stać się tylko okazałem miejscem zebrań dla myśliwych, kiedy przecież od najdawniejszych czasów Seaforth z przynależnościami zajmował pierwszorzędne miejsce między wielkiemi domami angielskich magnatów. Powinnością było wrócić mu dawną świetność!

Harold starał się usilnie o osiągnięcie tego celu, ale z możliwą ostrożnością, gdyż znając swoje usposobienie, czuł że nie może przedsiębrać żadnych nagłych postanowień. Czas zatrze powoli wspomnienie pięknego jego marzenia, a wtedy może jeszcze nowa przyszłość zajaśnieje dla niego. Tylu przecież ludzi przeżyło rozwianie się najdroższych swoich nadziei, i z popiołów przeszłości odrodzili się młodzi i silniejsi niż przedtem — dla czegóż i z nim takby się stać nie miało?...

Inni wychodzili zwycięzko, dzięki pomocy czasu, i on uczynić to zdoła i nie stanie się ofiarą losu i przeciwności.

I całe lata pracował nad tem aby za pomocą regularnych zajęć materyalnych zapomnieć tych kilku miesięcy tak pełnych szczęścia i złudzeń, które obecnie chciał uważać za chwilę słabości, choć nie mógł zaprzeczyć że wtedy najzupełniej stracił głowę. Obiecywał sobie iż odzyskawszy spokój umysłu, będzie mógł powrócić do świata i znowu pomyśléć o małżeństwie. Tylko nie o małżeństwie z miłości, o! to marzenie rozwiało się już na zawsze, i wiedział że ani czas, ani nawet własna jego wola nie zdołałaby go wskrzesić.

Przez cześć dla nazwiska, przez poszanowanie stanowiska swego, zdoła odnieść cząstkowe nad sobą zwycięztwo, a choćby przeszłość nie zatarła się zupełnie w pamięci, przecież z wyjątkiem małżeństwa z miłości, program jaki sobie ułożył zostanie spełniony i jednakie pociągnie następstwa.

Przecież spotkanie kobiety pięknej i miłej w braku miłości mogącej wzbudzać szacunek, nie jest znów rzeczą niemożliwą; a gdy z biegiem lat, zjednoczą się interesa, obawy, nadzieje, gdy łączyć ich będzie wspólne przywiązanie do podrastających dzieci, może uczucie jakieś zrodzi się w sercu jego dla żony, a tak, choć nie prędko, spełni się główna część programu. A więc przeznaczenie nie było dla niego zbyt surowem; i on także będzie mógł kiedyś jak feniks odrodzić się młodszym i silniejszym.

Nie uznał jednak i nie poddał się potężnej prawicy, która zesłała mu tak ciężkie do przetrwania wstrząśnienia, a w dumnem i pysznem jego sercu nie powstała ani na chwilę myśl poddania się wyższej woli—chciał sam walczyć i zwyciężyć. Ale podobna walka nie została pomyślnym uwieńczona skutkiem; z nadejściem czasu, jaki zakreślił sobie do zapomnienia przeszłości, przeraził się niewymownie widząc że rana jego była równie krwawą jak w pierwszym dniu jej zadania, a sama myśl o obecności kobiety pod jego dachem i przy jego stole, była mu równie wstrętną jak dawniej. Uciekł się więc do pierwotnie zastosowanego lekarstwa—do czasu—i postanowił czekać znów rok jeszcze przed powzięciem stanowczego postanowienia.

I tak rok za rokiem upływał nie sprowadzając żadnej zmiany; a nadto ów czas mający być jego sprzymierzeńcem, stał się przeciwnie jego wrogiem, gdyż nawyknienie do odosobnienia i samotności zakorzeniło się tak głęboko, pozbawiając resztek ognia młodości, iż spowodowało przedwczesną starość a z nią niewysłowiony wstręt do jakiejkolwiek zmiany. Obejście jego stawało się coraz poważniejszem i surowszem; uśmiech nader rzadko pojawiał się na ustach; nawet tak ulubione niegdyś polowanie, wszelki dlań straciło urok, a jeźli w samotnych przechadzkach spotkał którego z sąsiadów, co prędzej zwracał konia w inną stronę.

Niekiedy przerażony tem swojem usposobieniem, mówił sam sobie iż stał się tak ponurym i starym, że nawet samo posiadanie Seaforth'ów nie pociągnie pewnie żadnej młodej panny i nie skłoni jej do oddania mu ręki. Lepiej więc może, myślał, zaprzestać walki, zdać Seaforth na los i żyć jedynie wspomnieniem swej pierwszej i ostatniej miłości.

Lecz myśli takie tylko w chwilach słabości powstawały w jego umyśle, i wtedy wołał z rozpaczą: Jestem pokonany! pokonany!... lecz wnet górowała dumna i pyszna wola; nią ożywiony, wołał znów: „Nie! nie dozwolę aby ona zwichnęła mi całe życie! chcę i zapanuję nad memi uczuciami!... byłem pokonany, ale z kolei muszę zwyciężyć i tryumfować!"

I na nowo rozpoczynał walkę.

Aby uniewinnić nieco Harolda, przypominamy że nigdy promień miłości macierzyńskiej nie przyświecał zaraniu jego życia, że nie otaczało go uczucie siostry ani żadnej kobiety, a wszelki wpływ religijny był mu zupełnie obcym. Nie nauczono go wierzyć w istnienie siły wyższej, w potęgę woli Bożej, zdolnej poskromić najstraszniejsze burze. Godłem jego były słowa Napoleona. „*Wystarczę sam sobie!*"

Jakież były następstwa tak nędznego życia? Oto po wielu i wielu latach walczył zawsze jednakowo ze swemi uczuciami, nigdy nie mogąc ich pokonać, zapomnieć Estery Stanhope i wydalić z serca jej uroczą postać.

VI.

Prośba umierającego.

Pierwszym w następstwie ważnym wypadkiem, jaki zaszedł w dziejach rodziny, była śmierć hrabiego Seaforth i ważna rozmowa jego z synem, rozmowa, która wywarła silniejszy wpływ na Harolda niżeli wszystkie jego postanowienia. Tegoż samego dnia gdy doktór uwiadomił hrabiego, że nie tylko jego dni ale i godziny były policzone, starzec zawołał do siebie syna i rzekł do niego:

— Czy zastanowiłeś się nad tem kiedy, Haroldzie, że po mej śmierci ty jeden tylko będziesz tamował Godfredowi drogę do odziedziczenia godności i majątku Seaforth'ów.

— Nie troszcz się o to, mój ojcze, odpowiedział Harold, ożenię się kiedyś zpewnością.

— *Kiedyś!* powtórzył lord Seaforth. Ah! Haroldzie, tyle lat już czekam na to i widzę że z każdym upływającym rokiem mniej na to liczyć można!

— Ożenię się z pewnością, powtórzył Harold stanowczym tonem.

— A jeżeli, zanim to nastąpi, śmierć zaskoczy cię niespodziewanie! zawołał niespokojnie starzec.

Harold podniósł z żywością głowę; dotąd nic podobnego nie przyszło mu na myśl.

— Przypuśćmy więc że umrzesz,—dodał hrabia, widząc że słowa jego wywierają silne wrażenie; cóż się stanie w takim razie? Te obszerne włości, któremi już przez tyle lat zajmujesz się tak gorliwie, dostaną się w ręce szulera, który w krótkim czasie sprzeda je lub przegra w karty.

Harold zerwał się z krzesła z bolesnym okrzykiem i zaczął chodzić szybko po pokoju.

— Są tylko dwa sposoby uchronienia się od tak wielkiego nieszczęścia, mówił dalej lord Seaforth. Pierwszym z nich i najpożądańszym, byłoby abyś miał syna, ale w razie jeźli do tego nie przyjdzie, mam pewien projekt zapobiegający poniekąd złemu, o którym chciałbym właśnie pomówić z tobą.

Harold usiadł znów przy łóżku i zaczął słuchać ciekawie.

— Musimy uczynić to, czego *nie* czynić było chlubą naszej rodziny. Trzeba przekazać dobra i tytuły!...

— Przekazać! zawołał Harold. Komu? Prócz mnie i sukcesorów, jakich mieć mogę, jest tylko Godfred.

— Mylisz się, Haroldzie, rzekł starzec, Godfred ma syna.

Nastąpiło długie milczenie. Harold chodził wolno po pokoju nie mówiąc ani słowa, a hrabia ścigał za nim wzrokiem.

— Jestem już bardzo osłabiony, mój synu, rzekł nakoniec. Słuchaj mnie spokojnie dopóki nie przedstawię ci mego planu, a potem dopiero powiesz mi swoje zdanie.

Harold spełnił natychmiast życzenie ojca, i słuchał z uwagą nie przerywając mu wcale.

Hrabia oznajmił mu wtenczas że zamierza wydziedziczyć Godfreda, a tem samem uczynić go i nadal zależnym od brata, który mu będzie wypłacał dalej

tęż samą jak obecnie pensyję i pod takiemi samemi jak dotąd warunkami. Zamek i należące do niego włości mogą należyć tylko do Harolda i jego sukcesorów, lub gdyby ich nie było, przejdą na syna Godfreda, z pominięciem samego Godfreda, który w żadnym razie nie będzie miał do nich prawa. Starzec po przedstawieniu swego planu, błagał jeszcze syna aby osłodził mu ostatnie chwile życia uroczystem przyrzeczeniem, że się wkrótce ożeni.

Harold spełnił życzenie umierającego ojca; czuł że nie powinien mu odmawiać tej pociechy, tem więcej że postanowił już w myśli nie ociągać się dłużej, przerażony przypuszczeniem że śmierć mogłaby go zaskoczyć zanim doprowadzi ten zamiar do skutku. Przyrzekł sobie uroczyście że zanim rok upłynie, wprowadzi do Seaforth żonę, i wezwał do ojca notaryusza aby spisał ostatnią jego wolę; ale nie chciał być obecnym przy sporządzeniu tego aktu. Uważał że to są tylko całkiem niepotrzebne formalności, i nie sprzeciwiał im się jedynie dla tego, aby ojciec mógł umierać spokojnie.

VII.

Harold dotrzymuje obietnicy.

Nie upłynął jeszcze rok po śmierci ojca, kiedy Harold po raz pierwszy od lat wielu wyjechał na czas dłuższy do Londynu, pod pozorem że chce zająć swe miejsce w Izbie lordów; rzeczywiście zaś chciał wyszukać tam sobie żony. Lecz zaledwie wszedł do modnych salonów, zrozumiał że wziął się do tego zapóźno, że się zestarzał i trudno mu już zastosować się do wymagań świata.

Nie umiał prowadzić lekkiej i wesołej rozmowy z młodemi panienkami, które też zdawały się uważać go za starego kawalera; był zupełnie innym jak zwykli ich tancerze. Odpowiadały mu grzecznie, były dla niego uprzejme, ale jakby dla jakiegoś wujaszka, i czuł to nieraz, że tańcząc z nim cieszyły się gdy kontredans zbliżał się do końca. A jakże on sam był tem wszystkiem znudzony, zdawało mu się że odrabia ciężką pańszczyznę.

Nie tyle już męczyły go obiady, zwłaszcza gdy traf szczęśliwy umieścił go obok osoby wielomównej i poprzestającej na krótkich odpowiedziach, gdyż nie wiedział wcale o czem ma mówić. Niekiedy rzucał rozpaczliwe spojrzenia to na sąsiadkę z prawej, to na sąsiadkę z lewej strony, zadając sobie pytanie, o czem mógłby choć z jedną z nich rozmawiać.

Po kilku tygodniach, zniechęcony daremnemi usiłowaniami, zamierzał już wrócić do Seaforth, kiedy poznał młodą i przystojną wdowę. Lady Helena Fraser była osobą roztropną, zręczną i uprzejmą, która umiała zająć go swą rozmową więcej niż ktokolwiek inny.

Pomyślał zaraz że właśnie takiej potrzebuje żony, a poznawszy ją bliżej, utwierdził się jeszcze w tem przekonaniu, a nawet odkrył w niej nowe przymioty.

Lady Helena była damą wielkiego świata, umiała żyć z ludźmi; potrafi ocenić piękność i okazałość zamku Seaforth, przyjmować w nim sąsiadów z odpowiednią godnością i uprzejmością, i przynosić tem zaszczyt mężowi.

Z drugiej strony, jakkolwiek młoda jeszcze, miała już tyle doświadczenia że mogła sama czuwać nad sobą, co dla niego było rzeczą bardzo ważną, gdyż nie miał ochoty być zarazem mężem i ojcem swej żony, ani też wyrzekać się swych nawyknień, aby towarzyszyć jej wszędzie.

Jakkolwiek nie zadawał sobie wiele pracy nad zbadaniem jej charakteru, zdawało mu się że poznał ją dostatecznie i że posiadała dość serca, energii i prawości charakteru.

Nie widział, czy też nie chciał widzieć, że była zbyt światową, dumną i pragnącą wywyższenia, i skoro już postanowił się z nią ożenić, lepiej było nie zwlekać tego dłużej.

Lady Helena wybornie odgrywała swą rolę; zdawała się niedobrze odgadywać zamiary lorda Seaforth, nie starała się przyśpieszyć stanowczej chwili, ale kiedy jej się oświadczył po kilkotygodniowej znajomości, przyjęła go bezwłocznie. Tylko kiedy już zamienili przyrzeczenia, narzeczony usłyszał po raz pierwszy o istnieniu dwóch małych synków lady Fraser. Nie starał się już zbadać czy nie powiedziano mu o tem rozmyślnie, czy też przez roztargnienie; nie mógł się już cofnąć; oświadczył się i został przyjętym.

Nie oświadczyłby się z pewnością o lady Helenę wiedząc już o tem, ale teraz musiał już zgodzić się z koniecznością. Lecz w jego sercu, w tem sercu nie umiejącem zapomnieć ani przebaczać, zbudziło się uczucie nieufności do przyszłej małżonki, i pozostało tam na zawsze.

Rzeczywiście lady Helena postąpiła bardzo nieroztropnie, i musiała przedstawić się niekorzystnie człowiekowi z takiemi zasadami jak lord Seaforth, który cenił nad wszytko szczerość i prawość charakteru.

Uległa zbyt dla niej silnej pokusie. Bardzo młodo została wdową z dwojgiem dzieci i szczupłym majątkiem, i nie raz była w dość przykrem położeniu. Kłopoty pieniężne i myśl że powinna pamiętać o przyszłości synów, uczyniły ją praktyczną i interesowaną. Przez wzgląd na synów, pragnęła stworzyć sobie wyższe stanowisko w świecie, dla nich chciała pozyskać majątek i znaczenie.

Łatwo pojąć, jakie wrażenie sprawiło na lady Helenie oświadczenie się lorda Seaforth o jej rękę. Spełnią się więc najdumniejsze jej marzenia: będzie już uwolniona od kłopotów pieniężnych; tak dla niej jak dla jej dzieci rozpocznie się nowe, szczęśliwe życie.

Trzy tygodnie od dnia zaręczyn do ślubu spędziła w ciągłym niepokoju. Do ostatniego dnia, do ostatniej godziny obawiała się jakiejś nieszczęśliwej dla siebie zmiany! Niepotrzebnie byłoby odgadywać jakim sposobem uspokoiła swe sumienie co do przemilczenia o istnieniu dzieci. Zapewnie lady Helena trzymała się dość upowszechnionej zasady, że: Koniec wieńczy dzieło! a wolno nam domyśląć się, kochany czytelniku, że to sumienie było mniej drażliwe jak nasze.

Ponieważ zbieramy zwykle to cośmy zasieli, kto wie czy i lady Helenę nie oczekuje surowa kara w przyszłości. Nie zawsze też rzeczy przedstawiają się nam we właściwem świetle, więc i ona także widziała tylko świetną stronę czekającego ją położenia, gdy lord Seaforth złożył u jej stóp swe serce, a nadewszystko swój tytuł i majątek.

Kontrakt został wkrótce podpisany, dzień ślubu oznaczony, a w Seaforth odebrano rozkaz, aby czyniono przygotowania do świetnego przyjęcia młodej pani. Na pozór rzeczy szły jak najlepiej, i lord Seaforth zdawał się zupełnie zadowolony. Ale pewnego poranku, w piętnaście dni po zaręczynach, przyszedł do lady Heleny i prosił ją o chwilkę rozmowy.

Niepokoiła go myśl o jej dzieciach, i osądził że lepiej zawczasu określić ich względem niego położenie. Przyszedł więc oznajmić lady Helenie że nie będzie *wcale* zajmować się jej synami, i że życzy sobie aby ona sama kierowała ich wychowaniem i majątkiem.

Podobne postanowienie zdawało się zupełnie sprzeczne z trochę despotycznem usposobieniem lorda Seaforth, lecz podyktowały go ważne powody. Nauczony smutnem doświadczeniem, nie chciał podejmować się opieki nad młodymi ludźmi, zwłaszcza nad synami Kolina Fraser, który był dla niego zupełnie obcym.

Drugą najważniejszą przyczyną była chęć okazania że nie pozwoli na to aby mu narzucano jakieś obowiązki, jak niemniej że tak nieszczere z nim postępowenie budziło w nim niezadowolnienie. Po trzecie, chciał dać do zrozumienia lady Helenie, że odgadł jej zamiary i nie zgadza się na nie.

Lady Fraser zgodziła się na pozór chętnie na to wszystko. Czuła zresztą że potrafi i nadal kierować swymi synami, i zapewniła lorda Seaforth że nie będzie miał z tego powodu żadnej przykrości.

— Będą wkrótce umieszczeni w kollegium, dodała, już więc niedługo pozostaną przy mnie. Kolin we dwadzieścia jeden lat obejmie swój majątek w hrabstwie Nairn, obecnie puszczony w dzierżawę; co zaś do Andrzeja...

Zatrzymała się. Przyszłość młodszego jej syna była bardzo niepewna, i w głębi serca ukrywała nadzieję że lord Seaforth zechce się nim zająć.

— Andrzej, dodała po chwili, jest bardzo zdolny, i potrafi sobie wyrobić jakieś stanowisko na świecie. W każdym razie, drogi lordzie Seaforth możesz być pewnym że nie będziesz miał najmniejszego kłopotu z moimi synami. Chłopcy potrafią sami pokierować się na świecie.

Lord Seafort nie chcąc jak widać, mówić dłużej o rzeczy nie obchodzącej go wcale, zmienił rozmowę, i po raz pierwszy wspomniał o swym bracie, i nadmienił w krótkości o powodach zatrzymujących go za granicą. Lady Helena słuchała go z największem zajęciem i pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej. Zaledwie przestał mówić, zapytała:

— Czy to jedyny brat pana? Czy ma żonę?

— Jedyny, odpowiedział oschłym tonem, a jednocześnie wstał i wziął kapelusz. Jest to dla mnie bardzo przykry przedmiot rozmowy, dodał, i dla tego proszę aby pani nie wracała do niego nigdy. Uważałem sobie za obowiązek powiedzieć to pani, zanim zostaniesz moją żoną, ale mówimy z sobą o tem po raz pierwszy i ostatni!

Ukłonił się i wyszedł.

— W każdym razie, pomyślała lady Fraser ochłonąwszy trochę z zadziwienia spowodowanego tak nagłem jego oddaleniem, nie ma wcale ubogich krewnych, o których potrzebowałby myśléć; mogę prędzej miéć nadzieję że zrobi coś dla moich synów.

Ślub odbył się w kilka tygodni po tej rozmowie, i państwo młodzi wyjechali natychmiast do Seaforth.

VIII.

Seaforth pod nowym zarządem.

Wkrótce potem życie wrzało w zamku Seaforth jak w dawnych jego czasach; goście zmieniali się prawie bez przerwy.

Lady Seaforth była nieporównaną panią domu, przewyższała nawet pod tym względem przewidywania męża, który też zostawił jej zupełną wolność co do rozsyłania zaproszeń i co do wydatków. Harold był zupełnie zadowolniony, gdyż starożytne gniazdo jego przodków odzyskało swą dawniejszą świetność i zaczęło znów słynąć, stosownie do jego życzenia, z prawdziwie książęcej gościnności.

Jednak ten ciągły ruch i zamęt znużyły go wkrótce, i wracając stopniowo do dawnych nawyknień, oddalał się do swych pokojów, składając na żonę obowiązek zabawiania gości.

Lady Seaforth była zachwycona tak swem nowem położeniem jak i mężem tak szczodrobliwym i uprzejmym, że jej pozostawiał zupełną niezależność. Synowie jej byli tak uważani jak gdyby nie byli pasierbami lecz synami lorda Seaforth; mieli swoje konie i swoje ogródki; masztalerze i ogrodnicy byli na ich usługi. Dosyć jej było wyrazić jakieś życzenie dotyczące jej synów, aby lord Seaforth spełnił je natychmiast.

Wszyscy w zamku zdawali się uszczęśliwieni przybyciem do niego dzieci; znoszono ze składów zabawki służące kiedyś Haroldowi i młodszemu jego bratu. Napełniono napowrót ptaszarnie, napuszczono do stawu złotych rybek; stary furman podjął się nauczyć pana Freser polować z chartami, a leśniczy uczył go polować na króliki i łowić ryby na wędkę.

Już od tak dawnego czasu zamek Seaforth był podobnym do tego bajecznego pałacu, w którym wszystko było pogrążone we śnie głębokim, że każdemu miło było słyszeć wesoło głosy i śmiechy chłopczyków.

Trudno się więc dziwić że ta matka która musiała nie raz walczyć z materyalnemi trudnościami życia, została olśnioną tak nagłą zmianą, i nie przeczuła zaraz od pierwszego dnia tego, co odkryła zapóźno, niestety! Była oślepioną w pierwszych miesiącach pożycia; straciła swą zwykłą przytomność umysłu, i nie widziała tego że synowie jej byli zupełnie obojętni lordowi Seaforth, który zresztą widywał ich bardzo rzadko; gdyż nie chcąc aby mu się zbyt często nasuwali na oczy, umieściła ich w części zamku nie mającej żadnej styczności z jego pokojami.

Prawda że zgadzał się na wszystko o co dla nich prosiła, ale po głębszem zastanowieniu poznała że czynił to nie dla jej dzieci, ale jedynie przez wzgląd na nią. „Zrób jak chcesz; wydaj rozkaz aby wszystko było według twego życzenia; potrzebujesz tylko oznajmić swoją wolę leśniczym, stajennym...” Nie zajął się tem nigdy osobiście.

Spostrzegła tę obojętność wtenczas dopiero gdy się już oswoiła trochę ze swem świetnem położeniem, i gdy to życie tak wyłącznie światowe zaczynało ją męczyć. Wtenczas także zaczęła się zastanawiać więcej nad wszystkiem i zrozumiała iż jej stosunki z mężem nie odpowiadają jej oczekiwaniu.

Trzymał ją zdala od siebie, ich zajęcia były ściśle oznaczone, a tak obecność jak zdanie żony nie wywierało żadnego wpływu na lorda Seaforth. Te przykre odkrycia nasuwały jej się stopniowo, i w pierwszej chwili nie tyle ją zmartwiły jak zadziwiły. Wpływ jej na pierwszego męża był tak wielki, że lady Seaforth nie przypuszczała nigdy aby i drugi nie ulegał mu także.

Wszelkie jej usiłowania w celu wyrobienia sobie tego wpływu, spełzły na niczem. Mąż nie zasięgał nigdy jej rady ani w interesach, ani w tem co dotyczyło go osobiście. Nie było między nimi wzajemnego zaufania; Harold nie pytał nigdy o zdanie żony, a tem mniej jeszcze starał się wpoić w nią swoje; oznajmiał jej tylko swe postanowienia aby mogła zastosować się do nich, i poprzestawał na tem. Jeżli zrobiła mu jakąś uwagę, słuchał jej grzecznie a następnie powtarzał to co już raz powiedział jakby nie słyszał jej wcale. Tak obrażające postępowanie raniło boleśnie lady Seaforth; tem więcej że ta sztywność i nieugiętość nie pozbawiała Harolda pewnego wdzięku, którym zaraz od początku zdobył serce żony. Przywiązanie połączone z szacunkiem, zamienia się łatwo w uczucie żywsze i głębsze. Niepodobna było żyć obok tego człowieka zimnego, i nie powziąść dla niego szacunku, nie podziwiać jego prawości, niepospolitego umysłu i wielkich zdolności. A jednak żona nie zdołała nigdy zdobyć jego zaufania! był dla niej zagadką i pozostał nią na zawsze. Lord Seaforth chciał aby tak było, równie jak postanowił że pod jego dachem trwać będzie i nadal życie światowe ale on nie przyjmie w niem udziału.

Tak przy gościach jak gdy sam tylko był z żoną oddalał się zaraz po obiedzie do swych pokoi. Lady Helena ciekawa dowiedzieć się w jaki sposób przepędza swe samotne wieczory, odważyła się raz wejść do jego gabinetu, i z prawdziwem zadziwieniem zastała go siedzącego bezczynnie w fotelu, z głową wspartą na ręku i w postawie zdradzającej głębokie przygnębienie. Zobaczywszy ją, wstał i rzekł porywczo: „Proszę cię, nie wchodź tu nigdy!”

Łatwo się domyśleć że nie powtórzyła już nigdy tak niebezpiecznej próby.

Lady Seaforth tak dobrze ukrywała właściwy stan rzeczy, że sąsiedzi i przyjaciele byli przekonani iż jest najszczęśliwszą w pożyciu. Zresztą wdzięczna za dostatki któremi ją mąż otaczał, nie traciło odwagi, i miała nadzieję że przyjście na świat syna rozwinie silniej uczucie, które, jak jej się zdawało, kryło się pod tą pozorną obojętnością. Długie samotno życie wyrobiło w Haroldzie jakiś wstręt do życia towarzyskiego, a w jego wieku nie tak łatwo pozbyć się zadawnionych nawyknień. Skoro będą mieć dzieci, będzie zmuszony odwoływać się często do ich matki, słuchać jej rad, i to wspólne przywiązanie do syna zacieśni węzły łączące rodziców.

Ileż to razy, i z jakąż to dumą, przedstawiała sobie w myśli jakim to będzie ów upragniony spadkobierca majątku, tytułów i godności starożytnego rodu Seaforth'ów.

Ale, niestety! ten syn nie ujrzał nigdy światła dziennego. Przez kilka lat nie było w zamku innych dzieci prócz małych Fraser'ów, a gdy nakoniec zjawiło się tak niecierpliwie oczekiwane dziecię, było... tylko dziewczynką, i może nigdy żadne inne dziecię nie przyniosło rodzicom równie ciężkiego rozczarowania!

Była pierwszem i ostatniem dziecięciem lorda i lady Seaforth!

Tak w tym razie, jak i we wszystkich innych przykrych dla niego okolicznościach życia, lord Seaforth umiał ukryć swe uczucia i potrafił wzbudzić to ogólne przekonanie, że nie doznał tak przykrego zawodu jak jego żona, której smutek dochodził prawie do rozpaczy.

Nikt nie domyślił się nigdy jak wiele przecierpiał ten człowiek milczący i na pozór obojętny, nikt nie odgadł jak bolesnym dla niego był cios niweczący zupełnie ułożony przez niego program.

Nie lubił w ogóle dzieci, a jeżeli pragnął mieć syna, to jedynie aby miał komu przekazać swoje nazwisko, dla tego też córka była mu zupełnie obojętną. Dla niego był to, jak Florencya Dombey: „Wrzaskliwy dzieciak i nic więcej!”

Harold stał się odtąd jeszcze posępniejszym, więcej zamkniętym w sobie. Lady Seaforth sądziła że przypodoba się mężowi okazując jawnie swą niechęć dla małej Joanny, ale omyliła się i pod tym względem. Z czasem domyśliła się że prócz znanych jej powodów, jeszcze jakieś inne zupełnie jej nieznane, zwiększały obojętność Harolda dla córki.

My, którzy znamy lepiej od lady Seaforth dzieje życia jego, możemy łatwo rozwiązać tę zagadkę, zwłaszcza gdy się dowiemy że dziewczynka jakkolwiek bardzo ładna, była zupełnie podobną do wydziedziczonego i wygnanego z kraju wuja.

Nie było w tem nic dziwnego, ponieważ była także bardzo podobną do swej babki, Godfred zaś był żywym obrazem matki, a odrodził się zupełnie od familii ojca; ale pomimo to lord Seaforth nie mógł tego darować biednemu dziecku. Z czasem to podobieństwo doszło do tego stopnia, że odwracał oczy gdy spotkał swą małą córeczkę.

Lady Seaforth sądziła że powinna pójść za przykładem męża, i pod pozorem że umie wychowywać tylko chłopców, oddała zupełnie córeczkę pod opiekę piastunki i bony.

Mała Joanna miała obszerną i wykwintnie urządzoną *nursery*, później uczyła się w równie obszernych salach, i przepędzała życie w towarzystwie bony, nauczycielki i starych portretów, ale nigdy prawie nie była razem z rodzicami.

Rzeczywiście, lady Seaforth zajmowała się gorliwie synami, i myślała ciągle o zapewnieniu im przyszłości, co zaś do lorda Seaforth, który nie miał podobnej rozrywki i pociechy, przesiadywał jeszcze więcej w swym gabinecie, rozmyślając nad smutnemi kolejami swego losu, i gnębiony tą gorzką myślą, że pomimo wszelkich jego usiłowań, syn Godfreda i Estery będzie prawnym jego spadkobiercą, przyszłym właścicielem Seaforth'u.

IX.

Nagłe postanowienie.

Czytelnicy poznali już teraz przyczynę smutku małego widma błąkającego się po zamku Seaforth, i użalającego się tak żałośnie na swe osamotnienie. Dziwne bo też było istnienie tych trzech osób znajdujących się pod jednym dachem, a wiodących tak odrębne życie!

Z jednej strony matka z dwoma synami, z drugiej dziewczynka zostająca zupełnie na łasce swej bony, a nakoniec ten mąż i ojciec skazujący się dobrowolnie na samotne prawie życie i układający nowe plany.

Teraz, kiedy już stracił zupełnie nadzieję posiadania syna, stawał mu ciągle w myśli drugi Godfred, syn „tego ladaco” jego brata, zaten bezwątpienia źle wychowany, a zalecony przez umierającego dziadka, i nieznany mu wcale. Sumienie wyrzucało mu że nie uczynił nic dla uchronienia tego chłopca od złego przykładu który miał ciągle przed oczyma.

Trzeba przywołać go do Anglii, dać mu wychowanie odpowiednie dla angielskiego szlachcica, a tem samem przysposobić do zajmowania w przyszłości tak znakomitego stanowiska. Inaczej, wychowany wśród szulerów najniższego rzędu, przesiąkły najszkaradniejszemi zasadami, pójdzie z pewnością za przykładem ojca. Tak, powinien adoptować tego chłopca i wychować go jak własnego syna. Ale jakże mu ciężko będzie zawiązywać znów jakieś stosunki z bratem, żądać od niego poniekąd łaski!

(*D. c. n.*)



N. 1. Szlaczek z narożnikiem.

Opis do N-ru 44.

(*Dalszy ciąg.*)

N. 4. Żabot z muślinu i koronki.

Potrzeba na niego skośnego kawałka żółtawego indyjskiego muślinu 64 cent. szerokiego, a 40 długiego i 108 cent. hiszpańskiej koronki koloru vieil-or 8 cent. szerokiej. Z muślinu dany fałdzisty pukiel i koniec oszyty koronką; środkiem żabotu spada koronka fałdowana wachlarzowo, a zamiast węzła dane przemarszczenie drobniutkie 4 cent. szerokie.

N. 5. Żabot z cieniowanej materyi surah i blondyny.

Ułożony jest ze skosu różowej cieniowanej materyi surah 103 cent. długiego a 20 szerokiego, z brzegów podłużnych i z jednego rogu oszytego blondyną 7 cent. szeroką. W połowie długości od góry skos zebrany jest w fałdy i ułożony w pukiel, z pod którego wysuwa się róg oszyty blondyną; dolna połowa skosu złożona jest we dwoje i odwinięta na blondynę podług ryc. 5.

N. 6—7. Negliżyk z szeroką koronką.

Dla ułatwienia roboty przedstawiamy negliżyk płasko rozłożony na r. 7; za podstawę służy trójkąt sztywnego tiulu, z tyłu przy prostym brzegu 34 c. długi, z przodu 40 cent. obwodu liczący, w środku 6 cent. szeroki. Denko ułożone podług ryc. 6 i 7 z dwóch sfałdowanych kawałków atłasu po 22 cent. długości a 35 szerokości, które bierze się w dwóch kolorach lub też cieniowane. Brzegi czepeczka otacza koronka 10 cent. szeroka, z przodu namarszczona, z tyłu ułożona wachlarzowo.

N. 8. Szeroki kołnierz z haftem renaissance.

Szeroki chusteczkowy kołnierz z blado-żółtawego atłasu, ozdobiony naszytą na tle aplikacyą, starożytnego kolorowego łaftu. Brzegi kołnierza oszyte wypustką z wiśniowego aksamitu i szeroką koronką; pod szyją dany podwójny wykład aksamitny przysłonięty koronką. Do zapięcia służy piękna agrafka z oksydowanego srebra.

N. 9. Fartuszek z szydełkową koronką. Patrz ryc. 4 i 5 w N-rze 43.

Gładki bryt środkowy liczy 59 c. długości, u góry 17 u dołu 45 cent. szerokości i jest w około brzegów wązko zaobrąbiony. Przyozdobienie stanowi szydełkowa koronka i wszywka odrobiona podług r. 4 i 2 w N. 43, w ten sposób iż przybiera się na zaokrągleniu fartuszka i leży zupełnie gładko. Koronkę robić trzeba w dalszym ciągu po wszywce, przy ostatnim rzędzie słupków; pajączki odznaczające się ciemniej, wyszyte są ponsową bawełną.

N. 11—13. Patarafka pod lampę.

Tło środkowe stanowi plusz ciemnoponsowy zajmujący 12 c. w kwadrat, a narożniki przyszyte zą z oliwkowego pluszu; na zszyciu dany szlak wyszyty podług ryc. 13 włóczką hamburgską, ściegiem luźnym w trzech cieniach zielonych, dwóch jasno-niebieskich i blado-różowych; krótkie podwójne ściegi dodane jedwabiem. Pod wyszycie podłożony pasek tiulu koronkowego jak na firanki, przebijający jasno z pod ściegów włóczkowych. Środek narożników zajmują rozety z liści, których wzór podaje ryc. 12; żyłki w każdym listku wyszyte są perełkami stalowemi i złotemi. Pod patarafkę daje się podszewkę wełnianą lub jedwabną, a brzegi w około oszywa torsadką z kwaścikami.

N. 14. Koronka wywodzona na tiulu.

Ryc. 14 przedstawia koronkę naśladującą langwedocką, wyszytą ręcznie; tiul fastryguje się na papierze lub kalce, na której jest odznaczony deseń, podług niego kontury wywodzi się świecącemi nićmi dość grubemi, a listki, muszki i dziurki wyszywa cienką bawełną. Brzeg dolny oszyty fabrycznemi pikotami.

N. 15. Wzór na poduszkę do kanapy.

Deseń ten odpowiedni jest do męzkiego pokoju, szczególniej dla zwolennika myśliwstwa i przedstawia jakby obraz w ozdobnych ramach; środek od-



N. 2. Szlaczek z narożnikiem.



N. 3. Zasłona do lampy.



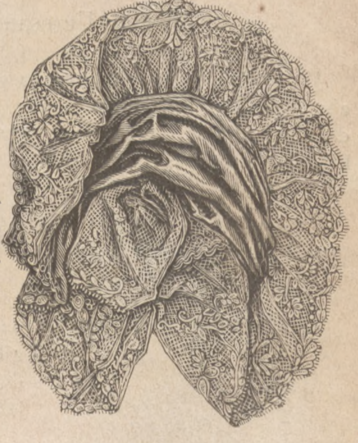
N. 4. Żabot z muślinu i koronki.



N. 5. Żabot z materyi surah i blondyny.



N. 6. Negliżyk z szeroką koronką. Patrz r. 7.



N. 7. Negliżyk z szeroką koronką. Patrz ryc. 6.



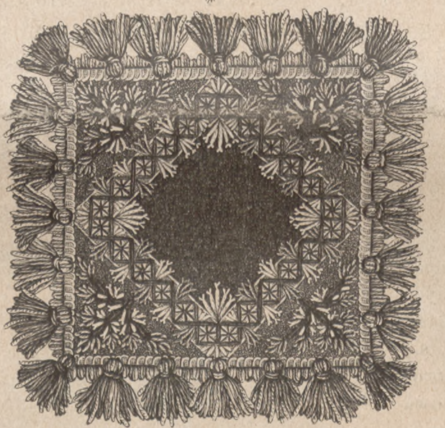
N. 8. Kołnierz z haftem renaisance.



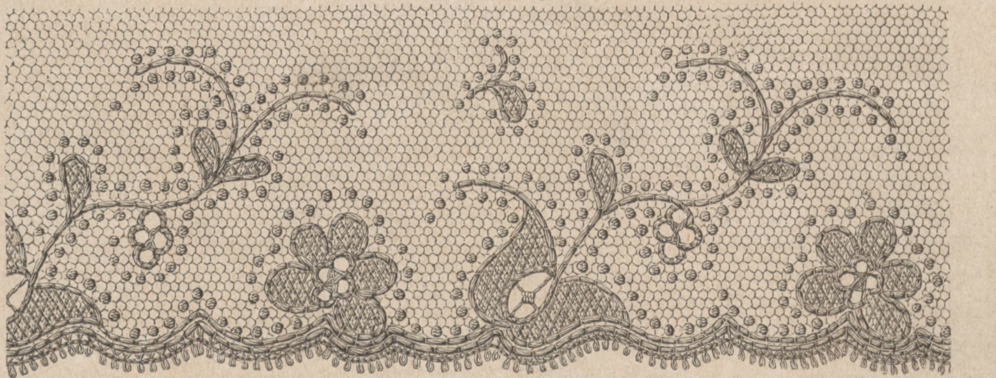
N. 9. Fartuszek z szydełkową koronką.



N. 10. Spódnica do r. 18 w N-rze 43.



N. 11. Patarafka. Patrz ryc. 12—13.



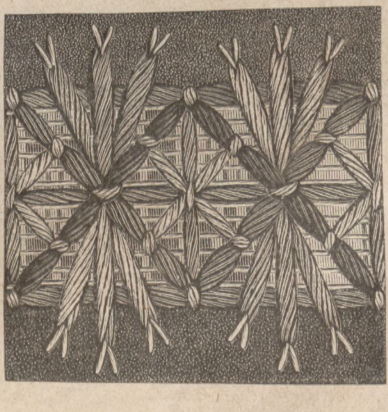
N. 14. Koronka wywodzona na tiulu, naśladująca langwedocką.



N. 12. Część narożnika do r. 11.



N. 15. Wzór na poduszkę do kanapy.



N. 13. Szlak do ryc. 11.



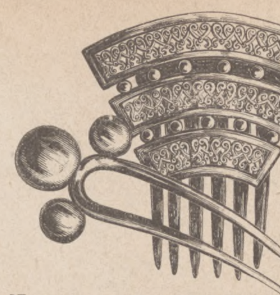
N. 20. Uczesanie z okrągłym grzebieniem.

robiony jest na burecie popielatym liczącym w kwadrat 23 cent., a szlak na ciemno-bronzowym pluszu. Dla braku miejsca nie możemy przedstawić deseniu w naturalnej wielkości, lecz z bardzo wyraźnej ryciny czytelniczki znające rysunek potrafią deseń narysować. Haft odrobiony ściegiem luźnym i płaskim, filozelą dzieloną po dwie nitki.

N. 16—19. Grzebienie i szpilki do włosów.

Przy skromnych uczesaniach modnych obecnie, różne ozdoby zostały wprowadzone w użycie, jak grzebienie, szpilki, przepięcia i t. p. Podajemy wzory najmodniejszych fasonów grzebieni; ryc. 16 przedstawia grzebień z koroną ażurową niklową, a ryc. 18 grzebień szyldkretowy. Szpilki złączone łańcuszkiem są oksydowane srebrne, a na ryc. 17 widzimy szpilkę metalową złoconą.

N. 20 — 23. Uczesanie wizytowe i ślubne.



N. 16 — 17. Grzebień i szpilka do włosów.

N. 20. Uczesanie z okrągłym grzebieniem.

Wszystkie włosy odczesane są do tyłu na krepinie lub bez i związane niezbyt wysoko. Spadające poniżej związania włosy lekko się tapiruje i układa w dwa pukle, przewiązane środkiem podług ryc. 20. Nad górnym puklem wpięty okrągły grzebień.

N. 21. Uczesanie do ślubu.



N. 28. Ubranie wizytowe dla osoby starszej.

Z przodu włosy są lekko fryzowane, odczesane do tyłu i związane razem dość nizko; do upięcia tylnego potrzeba włosów dość długich własnych lub przypiętych; najpierw podwija się najniższy pukiel dodając w środek jako podkładkę oddzielny promień włosów, który następnie podpięty w górę stanowi podstawę do upięcia wyższych pukli podług ryc. 21. Końce włosów odczesanych z przodu stanowią krótkie loki. Na wierzchu głowy przypięty okrągły wianeczek myrtowy, środek którego zajmuje przypięcie welonu, spadającego z przodu aż do pasa.

N. 22—23. Uczesanie z kwiatami.

Włosy rozebrać trzeba poprzecznie na wierzchu głowy; przednia część z rozbiorem lub bez odczesują się do tyłu, reszta włosów związanych dość wysoko dzieli się w cztery promienie; dwa z nich powinny stanowić grubo zwinięte sploty zwrócone do dołu, z dwóch zaś pozostałych i z końców przednich włosów układa się pukle podług r. 23. Przypięcie kwiatów również wskazuje rycina.

N. 24. Paletocik z szerokim kołnierzem.

Wzdłuż przodów zaszyte są po dwie zakłady na które przy krajaniu trzeba naddać materyału; plecy u dołu dopełnione są oddzielną częścią 20 cent. długą, założoną w dwie kontrafałdy. Szeroki kołnierz okrągły i mankiety przy rękawach są zastębnowane w zakładki.

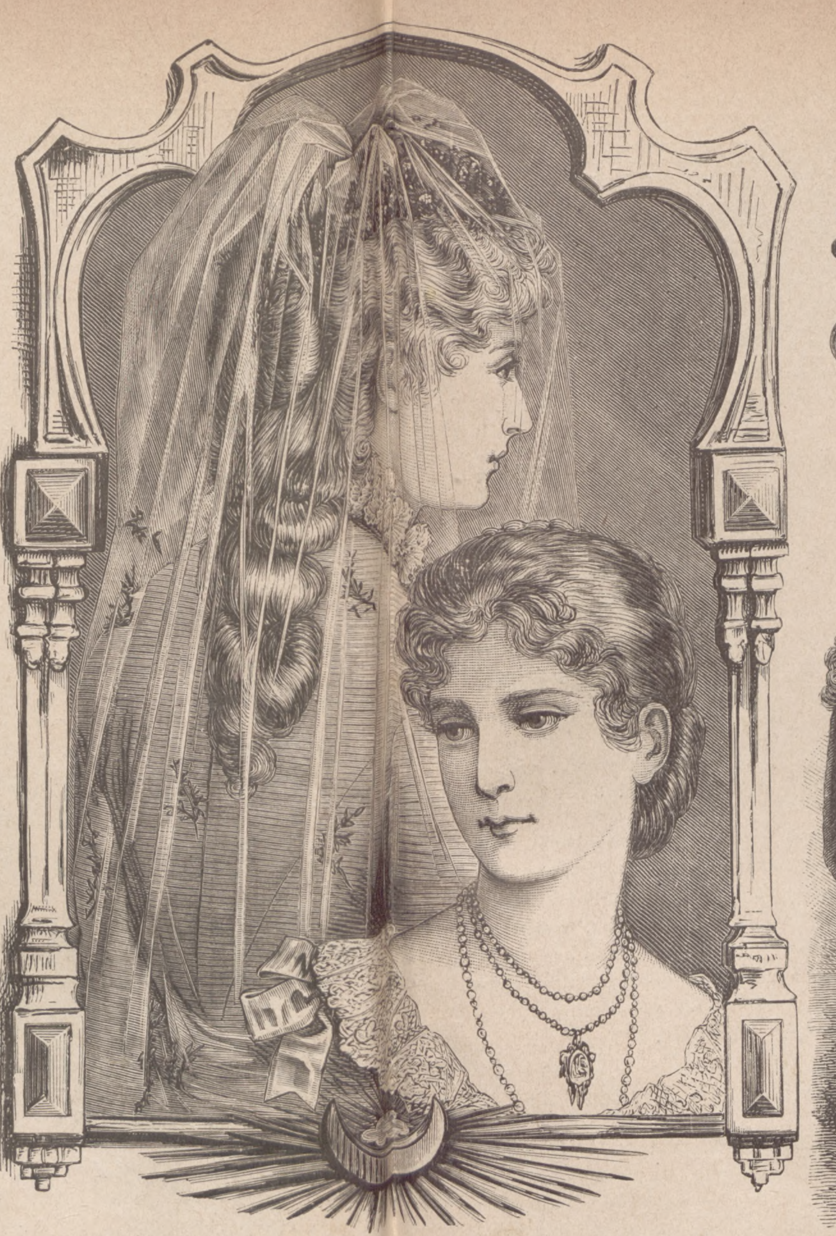
N. 25. Sukienka bluzkowa dla dziecka lat 1—2.

Uszyta z materyału w kratkę z wypustkami i kokardkami z ponsowego atłasu. Sukieneczka zaplisowana jest w całej długości, nawet



N. 24. Paletot z szerokim kołnierzem dla dziewczynki.

N. 25. Sukieneczka dla dziecka.



N. 21. Ślubne ubranie głowy.

N. 22. Strojne uczesanie. Patrz ryc. 23.



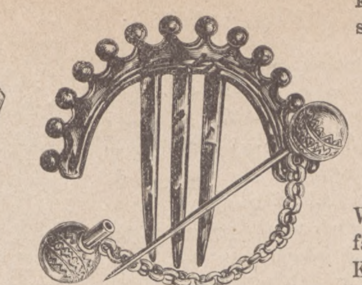
N. 30. Sukieneczka z bluzkowem vêtement.



N. 32. Suknia wieczorowa z draperyą à panier.

N. 33. Ubranie ślubne.

N. 34. Suknia balowa formą princesse z draperyą.



N. 18 — 19. Grzebień i szpilka do włosów.

karczek i mankiety złożone są w fałdeczki i przestębnowane.

N. 26. Sukienka z szarfą fałdowaną.

Odrobiona formą princesse ma u dołu falbanę układaną w kontrafałdy 3 c. szerokie, na przyszyciu dana szarfa również założona w fałdy. Wzdłuż przodów dany plastron oszyty plisowaną falbaneczką, przyszyty dwoma rzędami guzików. Kołnierz marynarski ma brzegi oszyte sznurem, związanym z przodu zamiast krawatki; u rękawów podwójne klapeczki oszyte sznurem.

N. 27. Sukieneczka wycięta przemarszczana.



N. 26. Sukieneczka z fałdowaną szarfą.

N. 27. Sukieneczka z przemarszczeniem.

Podszewkę gładką trzeba dobrze dopasować, wierzch zaś krajany z materyału miękkiego np. z blado-niebieskiej materyi surah, przemarszczony w ośm bufek po 5 c. szerokich, przedzielanych trzema rzędami marszczenia. U dołu sukienki falbanka plisowana 17 cent. szeroka, u góry zakończona przemarszczanym nagłówkiem. Zamiast paska bufka z materyi oszyta z brzegów koronką złotem wywodzoną, z tyłu kokarda z szerokiej wstążki; wykrój szyi otoczony bufką z koronką, na ramionach kokardki.



N. 23. Strojne uczesanie. Patrz ryc. 22.

N. 28. Ubranie wizytowe dla osoby starszej.

Suknia formą princesse z małym trenem, uszyta z czarnego atłasu; przybrana jest wspaniale lecz poważnie draperyą z czarnej koronki. Środkiem przodu wzdłuż sukni dane plisowanie zwężone w pasie, z pod którego z boków nad draperyą koronkową wysuwają się skośne fałdowane przepięcia szalowe, schodzące się z tyłu. Draperya spięta z przodu morową kokardą układa się z rotondy koronkowej. Na staniku pelerynka atłasowa oszyta szeroką marszczoną koronką, naszyta jedwabnym sutaszem.

N. 29. Ubranie strojne wizytowe.

Odrobione z gładkiego atłasu i z materyi deseniowej, broszowanej, adamaszkowej, moiré antique, lub z materyi gładkiej ozdobionej aplikacyą sukna przyszytą ściegiem tamburkowym (o czem pisaliśmy już w N-rze 36 przy ryc. 49 i 50). Środkiem deseniowego przodu sukni, dany kliniasty garnirunek z marszczonej koronki, w górze zaś z boków przecięcia na kieszeń, zapięte na guziki. Tylne bryty sukni krajane z wielkim trenem, podpięte w bufy, łączą się z przodem pod wachlarzowym garnirunkiem z koronki, idącym wzdłuż boków i rozszerzającym się stopniowo do dołu. Tren rownie jak dolny brzeg stanika, wycięty w proste zęby, podgarnirowane koronką. Suknia ta była z atłasu stalowo-szafirowego koloru z koronkami vieil·or.



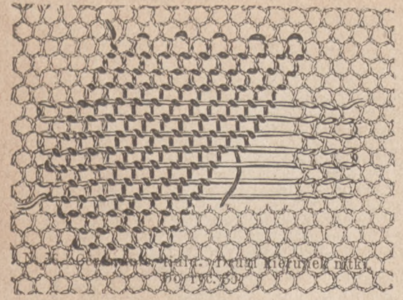
N. 31. Suknia z bluzką przemarszczaną.



N. 29. Strojne ubranie wizytowe.

N. 30. Sukienka z bluzkowem vêtement, dla młodej panienki.

Spódnica z różowego batystu z falbankami ze szlakami pasowanemi; vêtement bluzkowe jest z batystu w pasy białe z różowym; zamiast

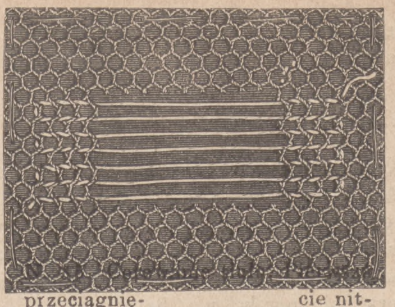


N. 36. Cerowanie tiulu. Drugi kierunek nitki. Po ryc. 35.

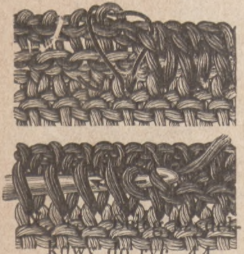
paska przewiązana wstążka różowa niezbyt szeroka.

N. 31. Sukienka z bluzką marszczoną dla młodej panienki.

Draperya naśladująca tunikę, z tyłu suto bufowana, upięta jest wprost na spódniczce garnirowanej trzema plisowanemi falbankami. Stanik bluzkowy marszczony jest w około szyi i w pasie; plecy przedłużone w karoczko 14 c. długie, 10 cent. szerokie, całe namarszczone. Rękawy zmarszczone są poniżej ramion i u dołu. Do przybrania sukienki służą walensienki $1\frac{1}{2}$ cent. szerokie i wstążka różowa atłasowa 4 i 6 cent. szeroka.



N. 35. Cerowanie tiulu. Pierwsze przeciągnięcie nitki. Patrz r. 36-37.



N. 45. Ścieg szydełkowy do ryc. 44.

N. 32. Suknia wieczorowa z draperyą à panier.

Atłas w bladym kolorze i piękne szerokie koronki stanowią materyał na efektowne ubranie. U dołu spódnicy koronkowa falbana przysłania szerokie plisowanie; powyżej dana szeroka bufa, przemarszczana kilkakrotnie u doła i zakończona wąziutką falbaneczką, z lewego boku przysłonięta częścią draperyi, ogarnirowaną koronką. Suto bufowane upięcie panier wskazuje r. 32. Stanik wycięty ogarnirowany u dołu riuszą. Kokardy z wstążki atłasowej.

N. 33. Ubranie ślubne.

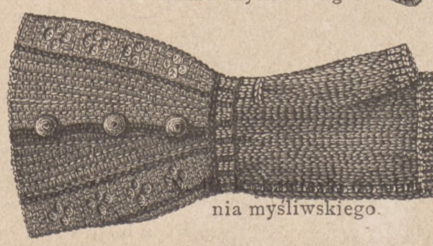
Suknia ze stanikiem z długą baskiną ma wielki tren spadający z wierzchu nakształt trenów dworskich, przez co ciężka mięsista materya jedwabna spływa w ładnie układających się fałdach. Przy takim trenie suknia kraje się krótko, garniruje szerokiem plisowaniem u dołu, a z przodu ma tunikowe przybranie z szerokiej koronki, zamiast której można użyć falban jedwabnych pięknie haftowanych; z pod koronki wysuwa się suto namarszczona falbaneczka jedwabna. Bardzo długi stanik zapinany z boku, ma odznaczony bawetowy plastron, przez naszycie ruloników z materyi i koronki. Poniżej ramienia bukiet ślubny myrtowy; na głowie okrągły wianeczek myrtowy. Upięcie długiego welona, spadającego z przodu po za stan ułatwią ryc. 33 i 21.



N. 41. Kamasze do ubrania myśliwskiego.



N. 40. Kaftanik z długiemi rękawami. Do ubrania myśliwskiego.



N. 43. Mankiet do ubrania myśliwskiego.



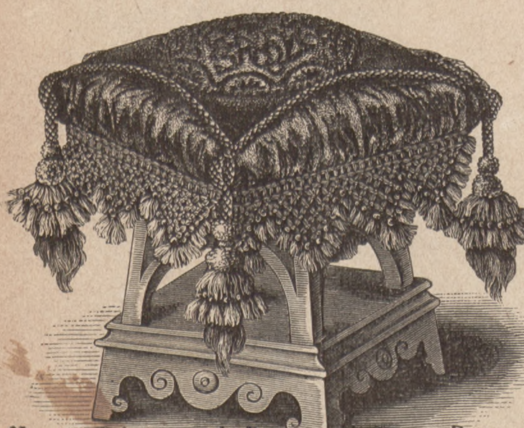
N. 42. Wyszycie sznureczkiem na kamasze do r. 41.



N. 49. Krzesło składane. Patrz ryc. 50-51.



N. 45. Szalik pory do kamaszy do r. 41.



N. 48. Taboret z haftem szydełkowym. Patrz ryc. 20—21 w N-rze 43.



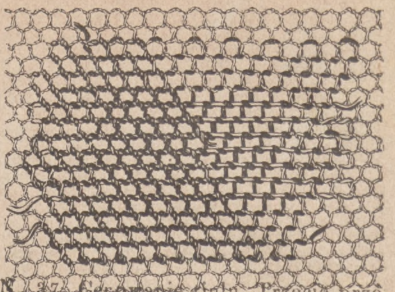
N. 51. Wyszycie na materyale deseniowym do ryc. 50.



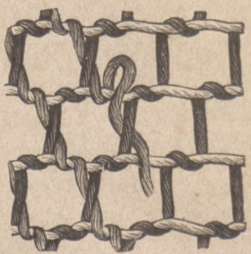
N. 46. Ścieg szydełkowy do ryc. 44.

N. 34. Suknia balowa formą princesse z draperyą.

Suknia princesse prawie całkowicie przykryta draperyą i garnirunkiem może być z atłasu, satynki lub batysu kolorowego. Odpowiednio do materyału z jakiego jest odrobiona, na draperyę i garnirunek bierze się gazę, krepę, muślin lub tarlatan; dodając droższą lub tańszą koronkę. U dołu sukni na szerokości 50 cent. dane jedna na drugą zachodzące drobniutkie falbaneczki. Na draperyę przednią potrzeba dwóch prostych kawałków, z których wyższy zakończony girlandką kwiatów i przyszyty jest w ten sposób, iż stanowi jakby przedłużenie stanika, dolny zaś i z boków ogarnirowany koronką przypina się na tylnym brycie podpiętym w bufy.



N. 37. Cerowanie tiulu. Trzecie przeprowadzenie nitki. Patrz ryc. 38.



N. 38. Cerowanie tiulu przedstawione w zwiększeniu. Patrz ryc. 35—37.

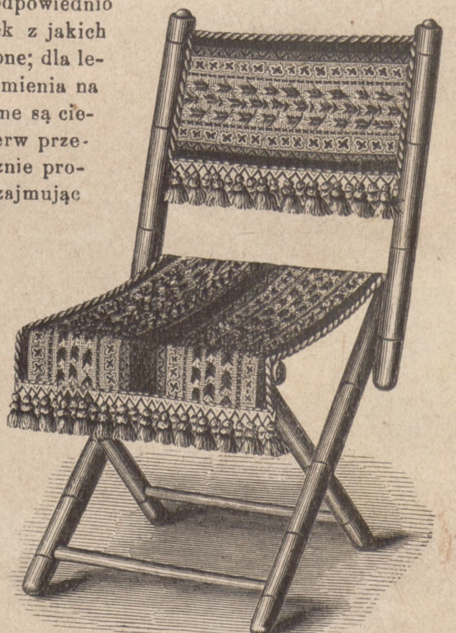


N. 44. Szalik do ubrania myśliwskiego. Patrz ryc. 45—47.

N. 35--38. Cerowanie tiulu.

Uczymy cerowania tiulu na próbkach grubych, jakie przedstawiają ryc. 35—38, ale tenże sam sposób stosuje się i do cieniutkich koronek. W miejscu przedartem potrzeba najpierw brzegi obciąć dla wyrównania, następnie jak to ryc. 35 wskazuje, przyfastrygować tiul na ceratce równo i gładko, ażeby zapobiedz od ściągnięcia, nitka do cerowania musi być zastosowaną do grubości tiulu. Cerowanie dopełnia się w trzech rzędach tam i napowrót, odpowiednio do biegu nitek z jakich oczka są kręcone; dla lepszego zrozumienia na rycinach nitki odznaczone są ciemniej i jaśniej. Najpierw przeciąga się nitki poprzecznie prosto, podług ryc. 35, zajmując z brzegów przez trzy lub cztery oczka, przyczem nitka przechodzi dla niepoznaki przez wiązanie oczek. Dalej od jednego rogu zaczyna się drugie przeszycie nitką w skośnym kierunku; r. 36 objaśnia jak przez przewleczone poprzednio poprzeczne nitki dają się ściegi skośne od strony prawej ku lewej. Na ryc. 37 wskazane jest trzecie przeszycie nitką, tworzące już całkowite oczka; tutaj każdy ścieg przeciąga się od spodu do wierzchu i jeden ścieg krzyżuje się z nitką skośną, a drugi zarzuca nitkę na nitkę poprzeczną z pierwszego rzędu cerowania; ryc. 38 wskazuje w znacznem powiększeniu cerowanie tiulu, co ułatwia bardzo zrozumienie roboty.

(D. n.)



N. 50. Krzesło składane. Patrz ryc. 49 i 51.



N. 47. Ścieg szydełkowy do ryc. 44.